TADEUSZ TOŁŁOCZKO

REKTORSKA DOLA

WARSZAWSKI
UNIWERSYTET
MEDYCZNY

UNIVERSITAS MEDICA VARSOVIENSIS

1809

SALUTI PUBLICAE

TADEUSZ TOŁŁOCZKO

REKTORSKA DOLA

Umiejmy przemyśleć to,
co mieliśmy odwagę przeżyć.

C.K. Norwid

Spis treści

9 Przedmowa Rektora WUM prof. dr. hab. Rafała Krenke
12 Słowo wstępne Rektora WUM (2008–2016) prof. dr. hab. Marka Krawczyka
17 Wstęp
18 Rektorat
Wprowadzenie
Wybory
Niepospolite wydarzenie
Najważniejsze zadania
36 Pole Mokotowskie
Destrukcyjna decyzja
Zmagania
Przeciwnik i my
Pole Mokotowskie – sukces
47 English Division *in statu nascendi*
55 Akademia i uniwersytet
Bez przydziału
Dyskusja na najwyższym szczeblu
Próba zjednoczenia
78 Prorektorstwo
82 Nauka
Nauka i wiedza
„Co to je człowiek?”
Pozory
Mądrość
Technologia
Prace badawcze
Wiedza i mądrość
Mądrość a postęp

92 Nauczanie
Zadania uczelni
Szkolenie zawodowe
95 *Sapere aude* – ośmiel się być mądrym
Lekarz jako nauczyciel akademicki
Salus aegroti
Założenia dydaktyczne
Universitas magistrorum et scholarium
Universitas – institutio semper reformanda
Etyka
Zadania szkoły – Biegański
Postęp
Problem-based learning
Verba docent, exempla trahunt
Refleksja
106 Ocalić od zapomnienia
Człowiek na trudne czasy
Pani mecenas
Przegrana rywalizacja
109 Sporadyczne wydarzenia
Postscriptum
124 Wizyta w Watykanie
127 Podziękowania

Przedmowa Rektora WUM prof. dr. hab. Rafała Krenke

Wśród wielu różnych zadań stojących przed każdym rektorem Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego (WUM) pojawiają się także te o zupełnie wyjątkowym charakterze. Zaliczam do nich prośbę byłego rektora naszej uczelni, pana profesora Tadeusza Tołłoczki, którą skierował do mnie w grudniu 2024 r., tj. dwa miesiące po objęciu przeze mnie funkcji rektora WUM. Pan profesor zapytał mnie, czy nie zechciałbym przeczytać przygotowanego przez niego manuskryptu zawierającego wspomnienia z okresu, w którym pełnił funkcję rektora i prorektora naszej uczelni. Pierwszą moją myślą po zapoznaniu się z propozycją pana profesora była niepewność, czy jestem właściwą osobą, która miałaby komentować jego relację z przeszłości i zgłaszać do niej uwagi. Równolegle pojawiły się we mnie ciekawość i naturalna chęć podjęcia się tego zaszczytnego zadania. Przyznaję, że jego realizacja w pierwszych miesiącach sprawowania funkcji rektora nie była łatwa ze względu na znaczną liczbę innych obowiązków. Przepraszam więc pana profesora, że spisanie moich komentarzy i refleksji zajęło stosunkowo dużo czasu, opóźniając nieco publikację jego wspomnień.

Po przygotowaniu ostatecznej wersji wspomnień pan profesor poprosił mnie także o napisanie przedmowy do tegoż opracowania. Propozycję przyjąłem z wielką przyjemnością, jednocześnie mając świadomość odpowiedzialności, jaka wiąże się z zaszczytem wprowadzenia czytelników w treść wspomnień jednej z wybitnych postaci w historii naszej uczelni – profesora Tadeusza Tołłoczki, który w latach 1990–1996 pełnił funkcję rektora Akademii Medycznej, kształtując jej tożsamość, rozwijając fundamenty i nadając kierunek rozwoju na dekady.

Wspomnienia obejmują szerszy okres od 1981 do 1996 r., w którym pan profesor uczestniczył w kierowaniu uczelnią najpierw jako prorektor dwóch kadencji, a następnie rektor. Jednak wspomnienia spisane przez autora nie są prezentowane w układzie chronologicznym. Pierwszych kilka rozdziałów jest poświęconych największym wyzwaniom i osiągnięciom tamtych lat, dzięki którym dzisiejszy Warszawski Uniwersytet Medyczny jest autonomicznym i dynamicznie rozwijającym się podmiotem o ugruntowanych kontaktach międzynarodowych. Kolejne rozdziały zawierają bezcenne wspomnienia i refleksje pana profesora, dotyczące rozwoju nauki, kształcenia i podstaw funkcjonowania uczelni w latach 1991–1996.

Lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte XX wieku były okresem głębokich przemian społecznych, politycznych i gospodarczych w Polsce. Uczelnie medyczne, podobnie jak cała sfera nauki, funkcjonowały w warunkach niepewności i niedostatków. W takich realiach niezwykle łatwo skupić się wyłącznie na przetrwaniu. Profesor Tadeusz Tołłoczko postępował inaczej – myślał kategoriami rozwoju, przyszłości i trwałości instytucji, której służył z pełnym zaangażowaniem. Jego wspomnienia wyraźnie uświadamiają nam, że zanim powstanie jakakolwiek inwestycja, zanim zabrzmi pierwszy wykład w nowej auli i zanim do laboratoriów trafią nowoczesne aparatury, potrzebna jest wizja. Potrzebny jest ktoś, kto potrafi wybiec myślą poza horyzont bieżących ograniczeń i dostrzec przyszłość tam, gdzie inni widzą tylko trudności. Taką osobą był bez wątpienia profesor Tadeusz Tołłoczko – człowiek, którego wspomnienia macie Państwo przed sobą.

Dziś, gdy snujemy plany dalszego rozwoju infrastruktury uczelni oraz stajemy przed niełatwymi decyzjami dotyczącymi budowy i rozbudowy kolejnych klinik, laboratoriów i przestrzeni dydaktycznych, warto docenić, jak wielkim osiągnięciem było pozyskanie terenów inwestycyjnych pod budowę naszego głównego kampusu akademickiego. Przemierzając

alejki między nowoczesnymi budynkami Centralnego Szpitala Klinicznego, Centrum Dydaktycznego, Centrum Biblioteczno-Informacyjnego, Dziecięcego Szpitala Klinicznego i innych uczelnianych obiektów warto wiedzieć, że to właśnie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zapadły decyzje, które umożliwiły rozwój tej przestrzeni. Realizacja wyzwań opisanych w książce wymagała nie tylko odważnej wizji, ale także ogromnej pracy organizacyjnej, negocjacyjnej i instytucjonalnej, często prowadzonej w warunkach trudnych do wyobrażenia z dzisiejszej perspektywy. Warto więc pamiętać, że dzisiejszy stan rozwoju uczelni oraz sukcesy, z których się cieszymy, pozostają w ścisłym związku z decyzjami oraz działaniami podjętymi i zrealizowanymi w tamtym kluczowym okresie.

Wspomnienia profesora Tadeusza Tołłoczki to nie tylko zapis wydarzeń i faktów – to również osobista, refleksyjna opowieść człowieka, który przez piętnaście lat współtworzył tożsamość naszej uczelni, nadając jej kierunek, który okazał się niezwykle trafny. Jego głęboka wiara w sens edukacji medycznej, w siłę nauki i w społeczny wymiar zawodu lekarza przebija z każdej zapisanej strony.

Z wyrazami najwyższego szacunku i uznania,

prof. Rafał Krenke
Rektor WUM w kadencji 2024–2028
Warszawa, 8 czerwca 2025 r.

Słowo wstępne Rektora WUM (2008–2016) prof. dr. hab. Marka Krawczyka

Mądre myśli są atrybutem niezwykłych postaci. Nie mam żadnych wątpliwości, że do takich osób związanych z naszą Alma Mater należy pan rektor Tadeusz Tołłoczko. Doskonale pamiętam wybory w 1990 r., kiedy społeczność akademicka w pierwszym głosowaniu wybrała go rektorem.

Nie sądziłem ani wówczas, ani do niedawna, że dane mi będzie przeczytać bardzo interesujący tekst prof. Tadeusza Tołłoczki, a ponadto zostać poproszonym o napisanie przedmowy do jego wspomnień.

Tekst dotyczy czasów, w których zapadały decyzje niezwykłej wagi, mające ogromny wpływ na losy naszej uczelni. Rektor Tadeusz Tołłoczko nie tylko był świadkiem tych ważnych chwil, nie tylko brał w nich udział, a tak naprawdę umiejętnie sterował ich powstaniem i wstępnymi realizacjami.

Zastanawiam się, czy w tak trudnych rozmowach, jakie prowadził w kwestii utrzymania decyzji o przyznaniu terenu przeznaczonego pod budowę medycznego miasteczka akademickiego naszej uczelni, ktoś inny by jej sprostał. Jestem przekonany, że tylko strategiczny umysł Tadeusza Tołłoczki doprowadził do utrzymania decyzji Dzielnicowej Rady Narodowej z 12 lutego 1953 r., przyznającej teren w kwadracie ulic Żwirki i Wigury, Trojdena,

Pawińskiego i Banacha Akademii Medycznej. Profesor miał za przeciwników potężnych (w sensie możliwości) urzędników administracji z Urzędu Rady Ministrów, których w ogóle nie interesowało, gdzie i w jakich warunkach będą nauczani przyszli lekarze. O pozwolenie na zabudowę zabiegało przedsiębiorstwo „Centrum Handlu ze Wschodem", któremu bardzo przychylne były władze dzielnicy.

To była jednak niejedyna trudna sytuacja z tamtego okresu. Kolejnym problemem Akademii Medycznej były złe stosunki z niektórymi przedstawicielami Uniwersytetu Warszawskiego. Spójrzmy na rozdział zatytułowany „Próba zjednoczenia", dotyczący rozmów o łączeniu Akademii Medycznej w Warszawie z Uniwersytetem Warszawskim. Mam nadzieję, że znana jest powszechnie rola Wydziału Akademicko-Lekarskiego powstałego w 1809 r., który w 1815 r. był współtwórcą Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Do dzisiaj jedna z pięciu gwiazdek w logo UW to medycyna. No i jak nie podziwiać człowieka, który nie zgodził się na wchłonięcie Akademii Medycznej jako pojedynczego wydziału przez struktury większej uczelni. To nie do przecenienia zasługa prof. Tołłoczki, że jesteśmy samodzielną, autonomiczną uczelnią. Tylko rektor Tadeusz Tołłoczko wie, ile wysiłku intelektualnego z jego strony wymagało utrzymanie odrębności i samodzielności naszej uczelni. Sposób argumentowania pana rektora Tołłoczki świadczy o jego specyficznym umyśle i o umiejętności przedstawiania celnych i ciętych ripost. Czapki z głów przed panem rektorem Tadeuszem Tołłoczką.

Potyczki z władzami UW toczył rektor Tadeusz Tołłoczko i w innej kwestii. Musiał w obecności władz państwowych prowadzić batalię o budynek tzw. medycyny teoretycznej, usytuowany na terenie UW. Żądając natychmiastowego wyprowadzenia się naszych jednostek, nie liczono się z faktem, że nie dysponowaliśmy miejscem, gdzie można by je przenieść. Nie był to ważny argument ani dla kierownictwa UW, ani dla ówczesnej Kancelarii Premiera. I po raz kolejny Tadeusz Tołłoczko dokonał niemożliwego, gdyż niefortunnej dla nas decyzji nie zrealizowano.

Odrębny fragment mojej przedmowy dotyczy utworzenia w naszej uczelni oddziału nauczania medycyny w języku angielskim. W latach 90. XX w. dwa czynniki zdominowały myślenie o uczelni. Jeden z nich był ekonomiczny, wiązał się z problemem, jak zapewnić pracownikom nauk podstawowych dodatkowe możliwości finansowe. Perspektywiczne myślenie autora „Rektorskiej doli" zwróciło uwagę na fakt, że zarówno w Poznaniu, jak i w europejskich

krajach zaczyna się kształcenie lekarzy w języku angielskim. Takie działania podnosiły nie tylko prestiż uczelni, ale były też znakomitym pomysłem na poprawę sytuacji finansowej jej pracowników. Rektor Tadeusz Tołłoczko może nie wbrew, ale bez przychylności senatu powołał do życia w 1993 r. English Division, zorganizowany wspólnie z prof. Wojciechem Sawickim przy dobrej współpracy administracji uczelni, a zwłaszcza Działu Finansowego i Prawnego.

W nagrodę zaproszono go na jubileusz 20-lecia powstania English Division i na tym się kończy pamięć naszej uczelni o dokonaniach twórcy. Tak wygląda „Rektorska dola".

Obszerny materiał autorstwa prof. Tadeusza Tołłoczki to przedstawienie nie tylko korzyści namacalnych dla uczelni, ale i kopalnia bezcennych myśli i uwag. Przytaczam jedną z nich *in extenso: (...) głównym zadaniem szkoły wyższej typu uniwersyteckiego jest uczyć myśleć, przekazywać wiedzę, kształtować charaktery i osobowości oraz wyłapywać talenty i je dalej kształcić*. Każdy nauczyciel akademicki powinien te zdania zapamiętać: celem naszym jest nauczenie zawodu lekarskiego, ale przede wszystkim myślenia lekarskiego. Nie pamiętam, by ktokolwiek tak dobitnie i celnie to podkreślał i wypunktował, jak rektor Tadeusz Tołłoczko.

Nie mogę nie podkreślić, co wynika zarówno z tekstu, a także z moich rozmów z Tadeuszem Tołłoczką, jego umiejętności doceniania innych pracowników. Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie, ale bardzo sobie cenię te zdania w „Rektorskiej doli", w których opisuje działania mec. Danuty Lewandowskiej w walce o przyznanie uczelni terenów pod przyszłe miasteczko uniwersyteckie. Ta skromna osoba o niebywałej wiedzy prawniczej wykonała razem z panem rektorem ogrom pracy, dzięki czemu Kampus Banacha pomieścił do tej pory tak wiele obiektów. Innymi osobami, które życzliwie wspomina prof. Tadeusz Tołłoczko, są dyrektor administracyjny Jacek Żbikowski i dyrektor Zarządu Inwestycji Tadeusz Długosz. Niejeden inny rektor po prostu powiedziałby – ja kierowałem uczelnią, to mnie zawdzięczacie to, co mamy, jednak rektor Tołłoczko zawsze postępował z klasą i zgodnie z własnym sumieniem.

Podziwiam erudycję pana profesora Tadeusza Tołłoczki i jestem pełen dla niej uznania. Ileż to razy przytacza myśli znakomitych myślicieli, filozofów, starożytnych uczonych i to nie tylko wymieniając ich nazwiska, ale korzystając z ich mądrości. Autor „Rektorskiej doli" odnosi się nierzadko do tekstów starożytnych Greków, cytując np. słowa Heraklita: Mądrości i wiedzy nie kupuje

się na tym samym rynku. Mądrość to coś więcej niż wiedza empiryczna. *Nie wystarczy dużo wiedzieć, ażeby być mądrym.*

Dzisiaj możemy śmiało mówić i pisać – Warszawski Uniwersytet Medyczny miał szczęście, bo jednym z jego rektorów był prof. Tadeusz Tołłoczko, z którego mądrości i wiedzy powinniśmy czerpać garściami. Często powtarzam krótkie, ale ważne zdanie prof. Tadeusza Tołłoczki, które powiedział w trakcie obchodów jubileuszu 200-lecia nauczania medycyny: *Niech kolejny rektor zapamięta na zawsze – poprzednik coś zaczyna, a kolejny kontynuuje i kończy, a nie krytykuje poprzednika.*

prof. Marek Krawczyk
Rektor WUM w latach 2008–2016
Warszawa, 6 lipca 2025 r.

Wstęp

Z wieloma różnorodnymi i znaczącymi wątpliwościami podejmuję się skrótowego i selektywnego przedstawienia problemów mojej rzeczywistości w latach 1981–1996, to jest w okresie, w którym pełniłem funkcje prorektora i rektora, obie po dwie kadencje.

Historycy najczęściej nie zajmują się przeżyciami poszczególnych jednostek, a przecież nasze osobiste losy są jednak cząstką wspólnej historii i wspólnej pamięci. Pamięć zaś nie powinna milczeć, bowiem szkolenie i wychowanie to nie tylko przekazywanie wiedzy, lecz również historycznego i życiowego doświadczenia przeszłych pokoleń. Musimy jednak być świadomi, że przez kłamliwą propagandę można zmieniać społeczną pamięć.

Ponieważ żyjemy w nasyconym propagandą i reklamą świecie, to z zadziwiającą łatwością poddajemy się hasłom pozorowanej prawdy. Takie metody manipulacji wiedzą i informacją zaburzają naszą umiejętność samodzielnego myślenia i wpływają na podejmowanie przez nas błędnych decyzji. Schopenhauer stwierdził, że ludzie wolą wierzyć w propagandowe hasła niż w przemyślane przez siebie sądy. Zwalniają się więc od myślenia i chwytają się gotowców podsuniętych przez propagandzistów.

Wspomnienia to surowiec do refleksji nad sobą samym, nad celem i sensem życia, nad skutecznością swoich myśli i działań. Myślę, że poszukiwanie prawdy i sensu życia jest wyrazem właściwego wykorzystania naszej ludzkiej możliwości, to jest myślenia. Omijanie celu i sensu życia uznałbym za wyraz bezmyślności.

Przecież pytania o cel i sens są odwieczne, ale nabierają one szczególnego znaczenia w czasach pozorów i zakłamania. Poczucie sensu nadaje naszemu życiu siłę oraz motywację – zwłaszcza do życia twórczego. Współcześnie w miarę upływu czasu ekonomia bardziej niż filozofia zmienia mentalność człowieka. Filozofia natomiast w przeciwieństwie do ekonomii zajmuje się celem i sensem życia. Zawsze należy się zastanawiać, czy w przypadku życiowego chaosu i pozorów znajdziemy sens życia i czy są wskazania do jego poszukiwania.

Zdaję sobie sprawę, że opisane myśli, przeżycia, fakty jako pozbawione emocji w porównaniu z rzeczywistymi doznaniami i przeżyciami przeszłości wypadają blado, miernie. Rzeczywistość, o której piszę, była bardziej ekspresyjna niż przedstawione tu suche fakty pozbawione emocji.

Wspomnienia niniejsze nie mają wartości dokumentu precyzyjnie odzwierciedlającego ducha czasu. *Przeszłość nie mówi nam, co powinniśmy robić, ale czego powinniśmy unikać* (Czesław Miłosz). Znajomość przeszłości ma nas zainspirować do kontynuacji, ale nie powtarzania czy też naśladowania.

Rektorat
Wprowadzenie

W roku 1990 zostałem po raz pierwszy wybrany rektorem Akademii Medycznej w Warszawie. Przez dwie poprzedzające to wydarzenie kadencje, czyli sześć lat, pełniłem funkcję prorektora. Przez 18 lat byłem członkiem uczelnianego senatu. W historii uczelni byłem ósmym rektorem, w tym trzecim z wyboru, a nie z mianowania.

W wystąpieniu rektorskim podczas inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Warszawskim i Akademii Medycznej w obecności najwyższych władz państwowych powiedziałem: „Świadomy odpowiedzialności, jaką zostałem obarczony, szukałem osobowego wzorca – i znalazłem. Byli to premierzy prof. Władysław Grabski i inż. Eugeniusz Kwiatkowski". Nie byli oni wolni od stawianych im przez publicystów zarzutów. I tak inż. Kwiatkowskiemu jedni zarzucali, że jest zbyt lewicowy, a inni, że zbyt prawicowy. W sumie jednak był on zbyt mądry i uczciwy dla głoszących przytoczone opinie.

Podczas rektorskiej kadencji reprezentowałem pogląd, że głównym zadaniem szkoły wyższej typu uniwersyteckiego jest uczyć myśleć, przekazywać wiedzę, kształtować charaktery i osobowości oraz wyłapywać talenty i je dalej kształcić. Powtarzałem wielokrotnie łacińskie zwroty: *sapere aude* (ośmiel się być mądrym) oraz *vivere est cogitare* (żyć to znaczy myśleć).

Mój okres rektorski to czasy specyficznie odmienne od poprzedzających. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* (zmieniają się czasy, ludzie i uwarunkowania). Wcześniej panował klimat politycznej walki i naszą uczelnię nazywano skrycie akademią polityczną. W przeszłości zdarzały się polityczne wiosny, przeżywaliśmy więc zmiany pogody bez zmiany klimatu. Powracały i trwały jednak polityczne zimy z wiatrem wiejącym ze wschodu. W końcu przyszła jednak zmiana klimatu politycznego. Nadeszły czasy zmagań. Jeszcze jedni władzy całkiem nie oddali, a drudzy jeszcze jej nie przejęli, choć czuli się już zwycięzcami. Całe życie byłem człowiekiem głęboko wierzącym w sens życia pozapartyjnego w naszych polskich warunkach, choć wiedziałem, że partie istnieć muszą – a nawet są potrzebne, wręcz konieczne. Bardzo ceniłem jednak swobodę myślenia. Jednakże w miarę upływu czasu czuję się pod tym względem coraz bardziej osamotniony. Dlatego nigdy nie byłem faworytem żadnej partii.

W życiu zajmowałem wiele zaszczytnych i odpowiedzialnych stanowisk. Wszystkie pochodziły z wyboru, a nie z mianowania. Przez władze partyjno-rządowe powołany zostałem tylko jeden raz w życiu... do obowiązkowej, nadterminowej służby wojskowej, ale za to aż na sześć lat (1952–1958).

Za naczelną swoją zasadę życiową uznawałem jednak obywatelski obowiązek pracy dla dobra chorego, uczelni i kraju.

Wybory

W wyborach rektorskich w 1990 r. nie miałem poparcia żadnej z politycznych stron. Kandydowałem jako samodzielny, niezależny. Na stanowisko rektora kandydowali również prof. Andrzej Górski, prof. Jerzy Kuch i prof. Andrzej Trzebski. Były to znaczące osobowości.

W wyborczym wystąpieniu powiedziałem: „Na życie, a w tym i na życie uczelni, nie można patrzeć raz lewym, a raz prawym okiem. Ja zapewniam wykorzystanie obu oczu, by widzieć lepiej, dalej i głębiej. Przychodzę, żeby

łączyć, a nie dzielić, i pracować dla wspólnego dobra". Przytoczyłem też ludowe przysłowie, że kolor kota nie jest ważny – ważne jest, aby umiał łapać myszy. Kandydaci mieli różniące się w szczegółach, ale raczej zbieżne programy naukowe i dydaktyczne. Wszyscy widzieli przyszłość w łączności z Unią Europejską. Panowała jednak niepokojąca atmosfera zaniku etosu dydaktycznego.

Moim nadzwyczajnym nauczycielem w zarządzaniu instytucją był Miles Hardie – Oksfordczyk, dyrektor International Hospital Federation. Przez 12 lat byłem członkiem zespołu zarządzającego (Managment), przez cztery lata członkiem komitetu wykonawczego (Executive Committee), a przez dwa lata prezydentem tej organizacji, skupiającej 90 delegacji krajów członkowskich. To od Milesa nauczyłem się cenić osoby o odmiennych przekonaniach. Zrozumiałem też, że największym hamulcem postępu są pozory, a żyliśmy w świecie pozorów. Najprostszym przykładem są naukowe pozory, gdy publikuje się więcej wyników niż wartości. Naszym akademickim zadaniem jest uczyć obywatelskiego, solidnego stosunku do nauki i pracy.

Osobiste zasady działania przedstawiłem zwięźle: pluralizm realnych koncepcji, demokratyczny sposób ich wyboru, jedność w działaniu. W swej aktywności postawiłem na zwyczajność, normalność, prawdę, na przejrzyste i czyste decyzje. Rozważałem zawsze, jak ochronić szkołę od doraźności, od krótkotrwałych i efektownych, a nie efektywnych działań, zdając sobie sprawę, że aktywność społeczna jakże często opiera się na amatorskich objawieniach albo też kończy się z chwilą zamknięcia dyskusji.

Byłem przeciwnikiem proceduralnej demokracji polegającej m.in. na organizowaniu stuprocentowego poparcia w głosowaniu nad złożonym wnioskiem. Wolałem uzasadniony sprzeciw niż wymuszone zaufanie prowadzące do skrytego, biernego oporu, hamującego proces wyzwolenia społecznej aktywności. Nie wymagałem, nie oczekiwałem ani też nie prosiłem, aby prorektorzy i moi przyjaciele głosowali zgodnie za moim wnioskiem. Istniała jednak między nami moderowana dyskusją spójność działania.

Żartobliwie mawiałem, że jeżeli jakiś wniosek uzyskuje stuprocentowe poparcie, to z założenia głosowanie powinno być nieważne. Mawiałem też parodystycznie, że jeżeli mój wniosek uzyska jednomyślne poparcie, to przychodziła mi myśl, że być może się pomyliłem. Wynikało to z obawy teoretycznej możliwości zaistnienia bezmyślnej jednomyślności lub sterowania nią.

W wyborczej dyskusji wyraziłem optymistyczne przekonanie, że demokracja już znacząco zakorzeniła się w życiu uczelni i że zabezpiecza skutecznie należne działania.

Do najcenniejszych osiągnięć naszej transformacji należy fakt, że uczelnia nasza ostała się jako Akademia Medyczna, a nie polityczna. W demokracji panuje jednak większość, a nie prawda. Na tym właśnie polega największa słabość demokracji i dlatego nie tylko nie zapewnia ona poczucia odpowiedzialności i wspólnego dobra, ale może się planowo ich pozbyć. Mamy wówczas tzw. demokrację proceduralną, zwaną również demokracją pozorowaną, fasadową. Oznacza to wejście na drogę rządów oligarchii i autorytaryzmu, a pamiętać należy, że profesorowie i rektorzy też dziedziczą wady poprzednich generacji i czasów.

Pamiętać także trzeba, że pozorowana, proceduralna demokracja sprytnie zamaskowana jest wzniosłymi pięknymi hasłami i sloganami lukrującymi rzeczywistość. Dojrzałe i mądre społeczeństwo potrafi jednak wszelkie tego typu przeciwności przezwyciężyć. Należy prowadzić do kolejnych rozwojowych sukcesów. Demokracja bez mocnych i przestrzeganych standardów moralnych, jaką jest demokracja proceduralna, staje się wprost zagrożeniem jako przejściowy etap kamuflowanego absolutyzmu.

Moralność osobista i obywatelska jednostki w znaczącym stopniu zależna jest od moralności rządzących i rządzonych, a więc od moralności społeczności, wśród której żyje, a ta z kolei od moralności panującej cywilizacji. Cechy i obyczaje środowiskowe, społeczne i narodowe znacząco wpływają na kulturę i poczucie obywatelskości. W zarządzaniu dużą zbiorowością trzeba być tego świadomym. Bertrand Russell stwierdził, że społeczeństwo bez moralności osobistej jest niewarte istnienia, a bez moralności obywatelskiej musi zginąć (i ja dodam: również bez historycznej pamięci).

Oczywistością jest, że nauka i medycyna kliniczna są przedsięwzięciem moralnym i moralność przesiąka każdą decyzję lekarską. Dlatego moralność traktować należy jako busolę określającą kierunek i zakres działania.

Oczywiste jest przesłanie, że życie i zdrowie człowieka są dla niego najcenniejszą ziemską wartością. Wielka mnogość ludzi z poświęceniem i odważną determinacją wiąże swoje życie ze zdrowiem i promocją cudzego zdrowia. Jedni uznają życie jako wartość przedostateczną. Inni, niemający metafizycznej perspektywy, uznają życie za wartość ostateczną. Obie grupy powinny mieć swój kodeks wartości, bowiem życie bez wartości byłoby bezwartościowe, a więc bez sensu.

Trzeba więc działać dla dobra wspólnego. Jednakże nasi intelektualiści nie chcą lub nie umieją być strażnikami społecznej moralności, mentalności i sumienia. Może ich mądrość zagubiła się w wiedzy lub porwana została przez nurt rzeki życia tam, gdzie jest jej najgłębsze koryto. A tam funkcjonują układy scalone przeróżnych interesów. Stan opieki zdrowotnej i całego państwa zależy od jakości moralnej społeczeństwa, a więc od jakości moralnej władzy i rządzonych. Ponadto nie ma profesjonalizmu bez etyki.

Niepospolite wydarzenie

Po rozdaniu kart do głosowania prof. Andrzej Trzebski zwrócił się do mnie, mówiąc: „Byliśmy razem prorektorami w czasie kadencji prof. Jana Nielubowicza. Bacznie obserwowałem pana aktywność i myślę, że będzie pan lepszym rektorem ode mnie" – i postawił krzyżyk przy moim nazwisku. Z kolei ja nie mogłem nie docenić wzniosłości tego gestu i powiedziałem: „I ja obserwowałem aktywność pana profesora i dochodzę do wniosku, że uczelnia potrzebuje takiego rektora jak pan" – i postawiłem krzyżyk przy nazwisku „Trzebski". Wówczas prof. Trzebski odpowiedział: „Wysoko oceniam pana szlachetność".

Wydarzenie to przedstawiłem publicznie w obecności profesora tylko raz, czego żałowałem ze względu na możliwość niewłaściwych interpretacji. Opis wydarzenia szczegółowo przekazałem przyjacielowi profesora panu prof. Januszowi Komenderowi, który powiedział: „Tak, to było w jego stylu". Opisany ewenement dobrze ilustruje profesora osiągnięcia i jego niezwykłą osobowość.

Najważniejsze zadania

W latach 1990–1996 pełniłem funkcję rektora Akademii Medycznej w Warszawie przez dwie kolejne kadencje. Spośród swoich wielu spełnionych i spełnianych obowiązków trzy uważam za osiągnięcia najważniejsze.

Pierwsze to odzyskanie terenów Pola Mokotowskiego, przeznaczonego na budowę medycznego miasteczka akademickiego. Wieloletnie zmagania o Pole Mokotowskie toczyłem z administracją miejską i państwową, sterowaną przez panów burmistrza dzielnicy i premiera. Zdecydowali oni prze-

znaczyć Pole Mokotowskie na budowę przedsiębiorstwa „Centrum Handlu ze Wschodem", wbrew decyzji poprzednich władz z 1953 r. przyznającej ten teren Akademii Medycznej. W zmaganiach tych odniesiony został wielki sukces. Osiągnięcie to jest przyczyną wielkiej satysfakcji i dumy, ponieważ efekty są trwałe, niewzruszalne i nieodwracalne, umożliwiały gigantyczny nowoczesny rozwój całej uczelni, a zwłaszcza jej infrastruktury. W wyniku działań podczas kolejnych rektorskich kadencji po odzyskaniu Pola Mokotowskiego dziś z dumą patrzeć możemy na gmach rektoratu, bibliotekę, nowo powstałe budynki klinik i zakładów badawczych oraz ośrodek sportowy. W przypadku klęski zostałby tylko kikut miasteczka akademickiego w postaci czterech budynków szpitalnych. Straty poniesione z zaniechania budowy byłyby nieodwracalne.

Drugim zadaniem i osiągnięciem było zorganizowanie Studium Anglojęzycznego. Oficjalnie studium otwarte zostało 1 października 1993 r. W tym samym dniu takie samo studium otwarto w Poznaniu. Były to dwa pierwsze tego typu osiągnięcia w kraju. Ryzyko było niewyobrażalnie duże wobec braku w czasie zimnej wojny bliskich kontaktów z zagranicznymi ośrodkami naukowymi i studentami.

Bardzo korzystne okazało się utrzymanie samodzielności i autonomii uczelni wbrew potężnej prasowej, urzędowej, a nawet akademickiej presji połączenia się z Uniwersytetem Warszawskim jako Wydział Lekarski. Pragnęliśmy utrzymać samodzielność w rozwoju z jednoczesnym zachowaniem ścisłego związku naukowego z uniwersytetem. Przyszłość pokazała, że zrobiliśmy samodzielnie duży krok w kierunku europejskości. Zaistniała większa łatwość i możliwość nawiązywania kontaktów z ośrodkami zagranicznymi.

Zadania te uznaję za jedne z priorytetowych w swej działalności życiowej. Pochłonęły one gros rektorskiego wysiłku, starań, a nawet walki.

☛ Rektor Akademii Medycznej w Warszawie prof. Tadeusz Tołłoczko w otoczeniu władz uczelni, senatorów i chóru studenckiego w sali koncertowej Filharmonii Narodowej na uroczystości wręczenia dyplomów ukończenia studiów na Wydziale Lekarskim.

☛ Rektor Tadeusz Tołłoczko podczas spotkania z pracownikami Instytutu Biostruktury i Katedr Teoretycznych na temat przystąpienia do organizacji Studium Anglojęzycznego.

☛ Podczas pierwszej kadencji rektor Tadeusz Tołłoczko brał udział w wielu oficjalnych spotkaniach, na których bywał obecny prof. Adam Strzembosz – Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego.

☛ Rektor Tadeusz Tołłoczko wręcza dyplom Akademii Medycznej w Warszawie jednemu ze studentów zagranicznych.

☛ Rektor Tadeusz Tołłoczko podczas uroczystości promocji doktorskich w Zamku Królewskim w Warszawie.

☛ Prof. Tadeusz Tołłoczko w swoim gabinecie w Klinice Chirurgii Naczyń i Transplantologii Centralnego Szpitala Klinicznego w Warszawie.

Pole Mokotowskie
Destrukcyjna decyzja

Sprawa Pola Mokotowskiego rozpoczęła się formalnie w 1953 r., gdy miejskie władze partyjno-samorządowe ustaliły, że wyznaczony teren ma być przyznany Akademii Medycznej. Odpowiedni dokument wydany został 12 lutego 1953 r. przez Dzielnicową Radę Narodową. Decyzja ta nigdy nie była unieważniona. Niestety nie założono wówczas księgi wieczystej. Ponadto w ciągu prawie 40 lat dokumentacja została zagubiona lub ukryta. Dawni urzędnicy twierdzili, że całą dokumentację przekazali przedsiębiorcy budującemu wówczas szpitalny blok E. Przedsiębiorca ten okazał się naszym przeciwnikiem jako prezes „Centrum Handlu ze Wschodem". Twierdził, że nigdy takiej dokumentacji nie otrzymał. Nie mieliśmy więc szans nawet na rozpoczęcie sprawy w sądzie. Po dwuletnim poszukiwaniu dyrektor Tadeusz Długosz znalazł kopię decyzji z 12 lutego 1953 r. wydanej przez Dzielnicową Radę Narodową, przekazującą Akademii Medycznej określony teren. Zwróciliśmy się wtedy do burmistrza o wydanie dokumentów potrzebnych do założenia księgi wieczystej. Nagle oficjalnie się okazało, że nasza ziemia została przekazana decyzją burmistrza, za zgodą pana premiera, przedsiębiorstwu „Centrum Handlu ze Wschodem".

Podczas mojej ostatniej rektorskiej inauguracji roku akademickiego 1995/1996 mówiłem, że społeczność akademicka zapewne daruje mi nie zawsze optymalny podział środków na poszczególne jednostki organizacyjne, z pewnością nie przebaczyłaby jednak braku skuteczności w odzyskaniu odebranych terenów. Cały wysiłek rektoratu skierowany był na możliwość cofnięcia destrukcyjnej decyzji. A naprawdę trudno było się przebić przez niechęć i interesy politycznych układów, biurokracji oraz interes niektórych urzędników.

Podczas posiedzenia senatu uczelni zwróciłem się z apelem o szukanie zewsząd jakiejkolwiek pomocy. Osoby, które zechcą nam pomóc, włączając się do grupy roboczej, prosiłem o bezpośredni kontakt ze mną. W rozmowach ujawniła się obojętność wynikająca z poczucia bezradności zmieszanej z nadzieją opartą na optymistycznym przekonaniu, że skoro rząd zabiera teraz Akademii Medycznej teren przyznany przed 40 laty, to znaczy, że ma już opracowany plan oddania należnego jej terenu w innym miejscu.

Niektórzy mówili, że sprawa jest tak wysokiej rangi i wagi, że bezdyskusyjnie podlega najwyższym władzom państwa i z pewnością opracowany został już plan, jak zrekompensować tę stratę.

Zmagania

Sprawa Pola Mokotowskiego pojawiła się w okresie ustrojowej transformacji i mojej pierwszej rektorskiej kadencji, gdy zwróciliśmy się (jako zarząd inwestycji) do burmistrza o wydanie dokumentów potrzebnych do założenia księgi wieczystej. W Urzędzie Rady Ministrów przekazano mi, że za zgodą pana premiera teren należy już do „Centrum Handlu ze Wschodem". Powiedziano też, że wszystko jest zgodne z prawem, więc zmiana decyzji władz z 1953 r. jest zgodna z nową Ustawą o szkolnictwie wyższym z 12 września 1990 r. dotyczącą przyznawania gruntów uczelniom. Wizyta w URM była krótka i bezowocna.

W tej sytuacji postanowiłem zwrócić się do przedstawicieli władzy ustawodawczej. Marszałek Sejmu Wiesław Chrzanowski zgodził się mnie przyjąć. Podczas rozmowy odniosłem wrażenie pełnego zrozumienia dla omawianego problemu. Jeszcze jedna osoba uczestnicząca w spotkaniu zasugerowała złożenie poselskiej interpelacji. Zobowiązałem się dostarczyć do wglądu posiadane dowody. Zaświtały radość i nadzieja, ale niestety w kilka dni później Sejm został przedterminowo rozwiązany.

Podczas imieninowego przyjęcia u znajomego dyrektora jednego z dobrze prosperujących banków wśród śmietanki finansjery polskiej znaleźliśmy się też pan marszałek Sejmu Józef Oleksy i ja. W rozmowie marszałek powiedział mi, że sprawa wygląda na bardzo skomplikowaną i zaprosił na spotkanie w swoim gabinecie sejmowym. Kolejna rozmowa utrzymana była w bardzo życzliwym i optymistycznym nastroju. Pan marszałek przyjął zaproszenie na posiedzenie senatu uczelni, na którym wygłosił płomienne przemówienie nawiązujące do problemów, z jakimi boryka się Akademia, a które na wstępie posiedzenia przedstawiłem razem z członkami senatu. Natomiast sprawa Pola Mokotowskiego okazała się całkowicie w gestii pana premiera.

W czasie prezydentury pana Lecha Wałęsy (1990–1995) powołana została Rada ds. Ochrony Zdrowia przy Prezydencie RP. Zostałem przez członków tej rady wybrany jej przewodniczącym i odbywałem spotkania z panem prezydentem oraz z przewodniczącym kancelarii prezydenta ministrem

Andrzejem Zakrzewskim i ministrem Lechem Falandyszem. Rozumieli oni istotę problemu, z jakim borykała się Akademia. Stwierdzili jednak, że mogą napisać poparcie dla niej, ale nie mogą interweniować w sprawie, która jest przynależna sądowi.

Odbyłem też wiele rozmów z kilkoma przewodniczącymi klubów parlamentarnych. W skład powołanej przeze mnie grupy roboczej wchodzili: dyrektor Jacek Żbikowski, dyrektor Zarządu Inwestycji Akademii Medycznej (ZIAM) Tadeusz Długosz, pani mecenas Danuta Lewandowska i prof. A. Skurski – radny Miasta Stołecznego Warszawy. Na posiedzeniu tej grupy uznałem, że duże znaczenie mogłaby mieć wizyta u przewodniczącego klubu parlamentarnego SLD pana posła Aleksandra Kwaśniewskiego. Wizytę umówił dyr. Jacek Żbikowski. Pan poseł sprawy nie znał, ale wyraził duże zainteresowanie. Rozmowa była rzeczowa, zwięzła i bez emocji. W pewnym momencie pan poseł przerwał rozmowę i zażądał połączenia z panem premierem. W kilka godzin później wszyscy spotkaliśmy się ponownie w gabinecie pana premiera. Dyskutant ze strony premiera stale podkreślał, że wszystko jest zgodne z prawem. Odpowiedziałem wówczas, że nie oznacza to, że wszystko jest zgodne z prawdą, dobrem i sprawiedliwością.

Akademia była w tym czasie właścicielem omawianego terenu przez prawie 40 lat od decyzji podjętej w 1953 r. i wybudowała na nim już cztety bloki szpitalne, a blok E jako piąty był w trakcie budowy. Była to tylko drobna część zaplanowanej, zatwierdzonej, ale nieukończonej jeszcze inwestycji. Ówczesna władza jako inwestor nie przewidywała żadnego przerywania rozpoczętej inwestycji. Traktowała ją jako jednolitą całość.

Odebranie prawa własności w trakcie realizacji zgodnej z planem inwestycji jest działaniem bezprawnym i destrukcyjnym. Z kilku wypowiedzi pana premiera można było wysnuć wniosek, że wszystko było już przygotowane do podpisu decyzji o przejęciu gruntu. Gdyby to doszło do skutku, sprawa byłaby definitywnie zakończona. Pozycja posła Aleksandra Kwaśniewskiego oraz interpelacje marszałków Sejmu, Kancelarii Prezydenta i przewodniczących klubów parlamentarnych, do których się zwracałem, spowodowały, że w trakcie rozmowy pan premier oświadczył, że czasowo wstrzymuje swój podpis. Wizyta zapobiegła więc zakończeniu sprawy z trwale niekorzystnym dla nas finałem. Zyskaliśmy czas na działanie.

Decyzja władz z 1953 r. przyznająca Akademii Medycznej omawiany teren była dla uczelni decyzją stulecia, a nawet kilku stuleci. Natomiast de-

cyzja o odebraniu tego terenu oznaczałaby regres w rozwoju i w postępie. Ponadto nic nie byłoby w stanie zastąpić wartości „produkcyjnych" szpitala i ośrodka naukowego. Natomiast planowany kompleks naukowy z potężnym zapleczem kliniczno-szpitalnym miał szanse stać się wspaniałym miejscem organizacji międzynarodowej działalności naukowej.

Oczekiwano w sumie prawie 40 lat na ponowne rozpoczęcie budowy miasteczka akademickiego, stanowiącego Centrum Nauk Medycznych, Centrum Ochrony Zdrowia i dydaktyki dla stołecznego miasta Warszawy. Odebranie prawa własności spowodowałoby, że standard badań naukowych, opieki zdrowotnej i dydaktyki naukowej nie tylko wstrzymany zostałby w rozwoju, lecz uwsteczniony o stracone 40 lat oczekiwania.

Przeciwnik i my

Dzielnicowa Rada Narodowa i URM urzędowo załatwiały sprawę odebrania Akademii prawa własności 20 ha naszego Pola Mokotowskiego dla „Centrum Handlu ze Wschodem" (CHzW). W kuluarowych rozmowach obliczano, że siła finansowa przeciwnika łącznie z powiązaniami i gwarancjami wynosi prawdopodobnie 860 mln zł. Ponadto dysponował on wsparciem zaplecza administracyjnego.

Rektor symbolizujący instytucję Akademii był natomiast z pustym berłem i brakiem należnej administracyjnej pomocy ze strony władzy. Urzędy okazały się przeciwnikami interesów uczelni. Do tego powszechnie wiadome było, że rektor jest praktycznie bezdomny po dwukrotnym otrzymaniu sądowego nakazu eksmisji z budynku wynajmowanego przy ulicy Filtrowej, w którym mieścił się rektorat. W tej sytuacji rektor dla swych przeciwników był śmiesznym, małym, nic nieznaczącym człowieczkiem, budzącym raczej politowanie. Dlatego ktoś, podając się w telefonicznej rozmowie za prezesa CHzW, powiedział mi, żebym się nie wygłupiał i nie ośmieszał swymi żalami osobiście składanymi do najwyższych osobistości w państwie, bo sprawa jest już formalnie załatwiona.

Dla przeciwników była to gra o duże pieniądze i dochodową inwestycję, a dla rektora o przyszłość stołecznej uczelni. Dysproporcja sił była bardzo znacząca i nie dawała rektorowi żadnych szans. Konkurujące przedsiębiorstwo dysponowało wielkimi możliwościami zaangażowania znanych

i drogich kancelarii prawnych. Nasza strona opierała się na pani mecenas, zatrudnionej w zarządzie inwestycji na umowę-zlecenie.

Wizja przegranej była dla mnie przerażająca. Powtórzę, że pokolenia zapewne darują mi nieoptymalny rozdział dotacji, ale nie darowałyby mi braku sukcesu w tej sprawie. W przypadku przegranej wszyscy by się nagle obudzili i swoje działania skierowaliby ku poszukiwaniu winowajcy. Jedynym winnym okazałby się oczywiście rektor, który nie umiał załatwić z panem premierem prostej i tak ważnej sprawy. Mówiono by, że po prostu zawalił sprawę. Nie liczyłbym ani na rzeczową analizę zdarzeń i faktów, ani na zrozumienie, ani na wyrozumiałość i litość.

W takich sytuacjach *a posteriori* oskarżający wyrasta na wielkiego męża stanu i zbawiciela, który wszystko załatwiłby pomyślnie. Wyrażałby też zdziwienie, że tak dużo popełniono najprostszych błędów. Znam wiele tego przykładów... Nikomu nie życzę, aby kładł się spać z taką świadomością.

Ale stał się „cud nad Wisłą". Zwycięstwo przyszło w dwóch etapach. Pierwszym było uzyskanie odroczenia sprawy przez pana premiera w wyniku naszej natarczywości i wsparcia przez polityków najwyższego szczebla, których stale męczyliśmy naszym problemem. Szczególnie ważną rolę odegrał tu pan poseł Aleksander Kwaśniewski jako przewodniczący klubu parlamentarnego. W tym czasie pan premier zamierzał podpisać dokument odebrania własności uczelni i sprawa zostałaby zakończona klęską.

Drugi, już finalny etap, to ciąg zwycięstw w sprawach sądowych osiągnięty przez panią mec. Danutę Lewandowską, we współdziałaniu z dyrektorem zarządu inwestycji i rektoratem. Pamiętać trzeba, że nie byłoby w ogóle etapu drugiego bez wygrania etapu pierwszego.

Pragnę zwrócić uwagę, że zmagania sądowe z burmistrzem i ze wspierającym go Urzędem Rady Ministrów obserwowane były wprawdzie z ciekawością, ale również z dużą obawą o autonomię i rozwój Akademii. Obawiano się, że prowadzenie sprawy sądowej przeciwko władzy może spowodować negatywną jej reakcję. W środowisku akademickim krążyła obawa, że zarówno wygranie, jak i przegranie sprawy ostatecznie pogorszy stosunek władzy do uczelni. Mówiono nawet o możliwości wycofania sprawy z sądu. Myśl ta wielokrotnie powodowała wahania w podjęciu decyzji. Ostatecznie sprawę kontynuowano i szczęśliwy koniec uwieńczył jednak naszą pracę. Nie miało to żadnego negatywnego wpływu na właściwe, prawidłowe, w pełni należne wzajemne relacje.

Sprawa Pola Mokotowskiego oraz przebieg naszej walki o odzyskanie go nie budziły ani obaw, ani specjalnego zainteresowania uczelni. Panowało powszechne przekonanie, że rząd ma plan przekazania Akademii innego dobrego, a może nawet lepszego terenu. Podczas pięciu lat naszej walki nie otrzymałem w senacie Akademii żadnej interpelacji w sprawie utraty własności Pola Mokotowskiego ani w sprawie wyjaśnienia aktualnego stanu prawnego. W sytuacji ważnej, a więc i kryzysowej, przedstawiałem w senacie sprawę jako ostatni punkt programu posiedzenia.

Proszę się domyślić, kogo spotkaliśmy w urzędach i sądzie podczas załatwiania sprawy. Przez pięć lat i przeszło 30 rozpraw sądowych nie spotkaliśmy nikogo, kto wspierałby nasze żądanie. Natomiast wiele nazwisk jako bardzo zasłużonych w tym względzie pojawiło się w czasopiśmie naszej Akademii. Istnieje możliwość, że wspierającymi były osoby z bardzo wysokiego szczebla załatwiające sprawy nieformalnie, pomimo że śladów takiego działania nie dostrzegliśmy.

Krążyła natomiast absurdalna plotka o nikomu nieznanej pani hrabinie, która rzekomo miała przekazać Akademii ziemię testamentem, a Sąd Najwyższy w drugiej instancji miał tylko jej decyzję zatwierdzić. A my z podziwem, radością, ale i też z dumą mieliśmy patrzeć, jak sprawnie i szybko pod kierunkiem następnych władz uczelni rozwija się nasza europejska przyszłość, a nie mury budynków „Centrum Handlu ze Wschodem".

Pole Mokotowskie – sukces

Wszystkie pielgrzymki do burmistrza i wymienionych osobistości, urzędów i instytucji utwierdziły mnie w przekonaniu, że powinienem zwrócić się jeszcze do władzy sądowniczej, zwłaszcza że Zarząd Inwestycji (ZIAM) prowadził już sprawę w sądzie.

W tym czasie w środowisku prawniczym wyraźnie wybrzmiało nazwisko pani mec. Danuty Lewandowskiej, która wygrała głośny proces z miastem o ustalenie Zarządu Centralnego Ośrodka Sportu nad Stadionem Dziesięciolecia. Dyrektor Tadeusz Długosz zaangażował panią mecenas w ramach pracy zleconej w 1993 r.

Dyrektor Długosz (ZIAM) podjął dalsze działania i po dwuletnich poszukiwaniach znalazł kopię decyzji przyznającej Akademii prawo własności do

określonego terenu Pola Mokotowskiego z 12 lutego1953 r., wydaną przez Dzielnicową Radę Narodową. Mając kopię dokumentu, pani mecenas natychmiast zwróciła się do burmistrza o wydanie dokumentów potrzebnych do założenia księgi wieczystej. Kierownik Wydziału Nieruchomości Urzędu Ochota nie uznał ważności przedstawionej kopii. Nie uznał więc decyzji z 1953 r. Kopię nazwał pismem, a nie dokumentem i odmówił wydania dokumentów. Mecenas Lewandowska wygrała jednak w sądzie sprawę o uznanie autentyczności kopii i uznanie jej za dokument, a nie pismo. Podobnych sądowych spraw z urzędem wygrała kilkanaście. Kierownik wydziału wydał wówczas Akademii Medycznej wypis jedynie na teren o powierzchni 7 ha pod już wybudowanymi blokami szpitala, co zostało oprotestowane.

Po wielu rozmowach, dyskusjach, gorących kłótniach i po przeżytych wielu procesach sądowych dotyczących aspektów prawnych typu wymienionych powyżej, po wielu odwołaniach, skargach i interwencjach u prezydenta i wojewody zaproponowano wydanie Akademii dokumentu określającego zwrot gruntu o powierzchni 15 ha.

Odpadłoby jednak pasmo gruntu wzdłuż ul. Żwirki i Wigury i ul. Trojdena, nie byłoby 5 ha obecnie zabudowanych przez rektorat, bibliotekę i basen, a zajętych w tym czasie przez „Centrum Handlu ze Wschodem". Teren ten był już ogrodzony przez dzierżawców, zamknięte zostały przejścia i przejazdy do szpitala. Było to powodem wielu spraw sądowych z poszczególnym firmami.

Pomimo możliwości odzyskania dużej powierzchni gruntu oraz niepewności co do ostatecznego wyniku sporu, ja jako rektor przy jednomyślności swego wspaniałego zespołu na takie rozwiązanie się nie zgodziłem. Bardzo znaczące było zdanie pani mecenas, która w sprawach sądowych miała niezwykłe doświadczenie i wiedzę oraz najlepsze wyczucie.

Śledząc wnikliwie akta procesowe, pani mecenas wykryła zafałszowania danych w ewidencji gruntów dotyczących spornego terenu. Wojewoda Bogdan Jastrzębski w Dzienniku Urzędowym cofnął pełnomocnictwo kierownikowi wydziału, co zakończyło się sprawą karną, nakazującą kierownikowi urzędu rejonowego wydanie Akademii wypisu i wyrysu na sporną nieruchomość o powierzchni 20,0271 ha.

Po interwencjach prawnych ostatecznie wyrys i wypis na sporną nieruchomość zostały wydane przez urząd rejonowy. Pani mecenas natychmiast założyła księgę wieczystą. I w tym momencie walkę o odzyskanie Pola Mokotowskiego można uznać było za wygraną.

Jednakże burmistrz, przedstawiciel firmy „Centrum Handlu ze Wschodem" oraz pozostałe firmy (np. chińska, wietnamska) wydzierżawiające ten teren złożyły od wpisu odwołania. Pani mecenas, odszukując dokumenty m.in. w archiwach, oprócz Pola Mokotowskiego doprowadziła do uporządkowania spraw terenowo-prawnych i założenia 17 ksiąg na inne posiadane już przez Akademię nieruchomości.

Wszystkie procesy trwały łącznie pięć lat i wszystkie wygrała pani mecenas. Jedna z firm, uznając racje Akademii, wycofała odwołanie od wyroku, a inna po wyroku II instancji Sądu Najwyższego. Pozostałe firmy przedłużały czas dzierżawy. Ostatecznie sprawy wpisu do księgi wieczystej ze wszystkimi firmami zakończył Sąd Najwyższy wyrokiem z 27 maja 1997 r.

Wyrok SN nie spowodował opuszczenia terenu przez wszystkie firmy, które chciały jak najdłużej dzierżawę wykorzystać, toczyły się więc dalsze procesy sądowe o wydanie Akademii odzyskanej nieruchomości. Przedłużało to bieg spraw na następny rok, gdy rektorem był już prof. Andrzej Górski.

Przebieg procesu odzyskiwania terenu był dużo bardziej zagmatwany niż wynikałoby to z przedstawionego tutaj opisu. Bywały momenty, a nawet okresy beznadziejności. Zanikała nadzieja, ale duch zwycięskiej walki zawsze dominował. Wspaniałymi bojownikami byli pani mecenas Danuta Lewandowska, dyrektor Tadeusz Długosz i dyrektor Jacek Żbikowski ze swoimi zespołami.

Jesteśmy dumni z odniesionego sukcesu. Wydarzenie to dla naszej uczeni ma wymiar historyczny, a ja, jako ówczesny rektor, składam wymienionym osobom oraz ich pracownikom gorące podziękowania za twórczą i pełną poświęcenia współpracę.

I tak dzisiaj spoglądam z dumą i radością, i cieszę się, że na odzyskanej przez nas ziemi wyrosło nowe miasteczko akademickie i że nie stoją tu budynki „Centrum Handlu ze Wschodem". Dzięki inicjatywie i intensywnej pracy wszystkich kolejnych rektorów, ich zespołów oraz społeczności powstał ośrodek na europejskim poziomie.

Podkreślić jednak trzeba wyjątkowy sukces, jaki odniósł rektor profesor Marek Krawczyk. W pierwszej fazie kierowania uczelnią realizował powstanie Centrum Biblioteczno-Informacyjnego oraz Centrum Badań Przedklinicznych i Technologii. Następnie dzięki swojej umiejętności i staraniom uzyskał od władz państwowych decyzję o finansowaniu dalszej rozbudowy ośrodka. I tak powstały szpital pediatryczny oraz Centrum

Sportowo-Rehabilitacyjne. Profesor otrzymał również środki na wybudowanie Uniwersyteckiego Centrum Stomatologii.

Skala tych przedsięwzięć była ogromna, więc osiągnięcia te przekraczały normalne możliwości i ówczesną wyobraźnię. Wybudowano dzięki temu nowoczesny szpitalno-naukowo-dydaktyczny kompleks o europejskim standardzie i potężnym potencjale leczniczym, badawczym i dydaktycznym.

W imieniu własnym i następnych generacji pracowników oraz całej społeczności naszej uczelni składam wyrazy wdzięczności wszystkim inicjatorom i kontynuatorom dzieła jej rozwoju i wprowadzenia do nowoczesności. Te osiągnięcia mają wartość nieprzemijającą.

☛ Marszałek Sejmu RP Józef Oleksy z wielką życzliwością pomagał nam w opracowaniu planu działania w sprawie Pola Mokotowskiego.

✻ English Division in statu nascendi

Umiędzynarodowienie uczelni jest jedną z głównych sił napędowych jej rozwoju, a szkoła wyższa typu uniwersyteckiego powinna otwierać studentom horyzonty światowej myśli poprzez nawiązywanie międzynarodowych kontaktów. Organizacja studiów dla obcokrajowców jest tego dobrym przykładem i kierunkiem działania praktycznego. Możliwości organizacji takich studiów pojawiły się w Polsce pod koniec lat 80. w wyniku zachodzących przemian społeczno-politycznych. Były to jednak wówczas raczej życzenia. Po latach ograniczonych kontaktów międzynarodowych nie byliśmy do tego przygotowani.

Pragnę przedstawić własne przeżycia oraz motywy i okoliczności związane z organizacją English Division w naszej uczelni, której rektorem wybrany zostałem w 1990 r.

Jednym z głównych nierozwiązywalnych problemów było wówczas niemal masowe zwalnianie się pracowników naukowo-dydaktycznych w zakładach nauk podstawowych. Groźba braku kadry i zaburzenia toku nauczania była bardzo realna. Momentem wyzwalającym reakcję zwolnień była decyzja Ministra Zdrowia o podwyżce płac tylko dla pracowników w jednostkach klinicznych. Ówczesny dyrektor Instytutu Biostruktury prof. Kazimierz Ostrowski i były dyrektor tego instytutu prof. Wojciech Sawicki niemal codziennie donosili o zwalnianiu się z pracy kolejnego pracownika. Ten sam problem wystąpił również w katedrach na Krakowskim Przedmieściu. Na wspólnych naradach rozwiązania nie znajdowaliśmy. Podobnie jak Ministerstwo Zdrowia byliśmy bezradni.

W tym czasie, uczestnicząc w zjeździe naukowym w Budapeszcie, nawiązałem kontakt z rektorem tamtejszej Akademii Medycznej i podczas ciekawej rozmowy dowiedziałem się, że jego uczelnia prowadzi nauczanie medycyny dla obcokrajowców w języku angielskim. Na wyjaśnienia metodyki rekrutacji pan rektor nie miał już czasu. Pomimo tego z wielkim trudem udało mi się powstrzymać od okrzyku Archimedesa *Eureka* – znalazłem metodę na zatrzymanie pracowników katedr teoretycznych. Zdawałem sobie sprawę, jak wielkie korzyści dla uczelni, pracowników i studentów przynieść

może taka działalność. Po ochłonięciu z wrażenia przeraziłem się z kolei ogromem nieznanych mi problemów do rozwiązania. Można się jednak bać, ale nie można tchórzyć. Dowiedziałem się też, że w Poznaniu prof. Maciej Gembicki bardzo gruntownie wraz ze stroną amerykańską przygotowuje czteroletnie studia lekarskie dla amerykańskich studentów. Zrozumiałem, że konkurencji z nim nie wygram, ale za to my możemy zorganizować studia z sześcioletnim naszym polskim programem nauczania.

Po powrocie do Warszawy natychmiast poprosiłem dyrektora Instytutu Biostruktury prof. Sawickiego o zorganizowanie zebrania wszystkich pracowników naukowo-dydaktycznych katedr nauk teoretycznych. Sala była pełna. Przedstawiłem zebranym wizję organizacji Studium Anglojęzycznego. Wykazałem naukowe i finansowe korzyści, prosząc usilnie o wycofanie podań o zwolnienia i przedstawiając wizję znaczącej podwyżki uposażeń. Poprosiłem, aby chętni do współpracy i rozpoczęcia pracy od podstaw po zakończeniu zebrania pozostali na sali. Opinie zebranych były bardzo różnorodne. Przeważały wątpliwości. Był głos przestrzegający mnie przed sprowadzeniem nieszczęścia na uczelnię. Dominował brak wiary w możliwość realizacji zamierzenia. Pojawił się projekt zaangażowania ekspertów finansowych i prawa międzynarodowego. Sprzeciwu wobec założeń organizacyjnych nie było.

Zbyt dużo pozostawało jednak niewiadomych. Nie zdziwiłem się, że pomysł nie wzbudził entuzjazmu, choć sam projekt akceptowano. Po zebraniu na sali została tylko jedna osoba – był to pan prof. Wojciech Sawicki. Odżyłem, bo wiedziałem, że będzie nie tylko współpracownikiem, ale i niezwykle cennym, samodzielnie myślącym inicjatorem, konsekwentnie realizującym wspólne i własne pomysły. Był niekwestionowanym autorytetem dydaktycznym i naukowym. Perfekcyjnie znał język angielski i, co najważniejsze, był entuzjastą całej koncepcji. Wielka ulga i pierwszy zarys sukcesu. Dyrektor Akademii inż. Jacek Żbikowski i pani kwestor mgr Elżbieta Pietryka z entuzjazmem i optymizmem włączyli się w realizację zamierzenia.

Do kontynuowania rozpoczętej pracy organizacyjnej niezbędna była zgoda Wysokiego Senatu. Przedstawiłem opracowany wspólnie z prof. Sawickim etapowy plan działania organizacyjnego i dydaktycznego na pierwsze dwa lata. Szczegółowo przedstawiłem wszelkie *pro et contra*. Opinie członków senatu były bardzo zróżnicowane i oparte na rzeczowych argumentach. Nie dostrzegałem najmniejszych śladów zwykłej polskiej niechęci ani do projek-

tu, ani do jego autora. Poczułem wielkie zainteresowanie, nawet gdy opinie były negatywne. Wzmacniało to mój optymizm.

Obawiano się, że merkantylizm zniszczy etos pracy dydaktycznej i że lepiej płatne nauczanie w języku angielskim stanie się zasadniczym celem części nauczającej kadry. Podnoszono też nierozwiązane jeszcze wówczas aspekty organizacyjne, a zwłaszcza prawne i finansowe, stanowiące dla uczelni poważne zagrożenie. Obawiano się też masowego napływu i dominacji studentów o bardzo niskim poziomie wykształcenia i wiedzy, którzy u siebie nie zdali lub w ogóle nie zdawali egzaminu wstępnego na studia. Obniżałoby to znacząco prestiż uczelni. Obawiano się w narodowościowo zróżnicowanym środowisku narkomanii i przestępstw. Przytaczano wiele na to przykładów. Argumenty te były poważne, rzeczowe i uzasadnione. Wśród przeciwników znajdowały się również osoby o wysokiej akademickiej pozycji i autorytecie. Były też wypowiedzi bez konkluzji, ale wyliczające zagrożenia, a więc reprezentujące stanowisko wyczekujące. Ryzyko oceniano jako bardzo wysokie. Szczerość negatywnych opinii tym bardziej pobudzała moją determinację, bo wierzyłem, że w razie potrzeby znajdę wsparcie. Z kolei niektóre popierające projekt wypowiedzi przyjąłem podejrzliwie. Dyskusję bardzo wnikliwie podsumował przewodniczący Komisji Dydaktycznej – osoba powszechnie ceniona i o dużym autorytecie – mówiąc, że korzyści byłyby bardzo duże, ale zbyt duże jest ryzyko.

W przybliżeniu wyliczyłem, że w głosowaniu wniosek o organizację studium zostałby odrzucony. Dlatego zdecydowałem, że procedury głosowania nie będzie. Tak to już w życiu jest, że wszelkie decyzje opierają się na dwóch rodzajach motywacji: na tych szlachetnych i tych prawdziwych. Formalnie głosowanie zostało odłożone, by uzyskać czas na przemyślenia pojawiających się nowych argumentów, ale brak formalnego sprzeciwu senatu pozwalał na kontynuowanie prac organizacyjnych. I tak dużym wysiłkiem zespołu rektorskiego udało się tę pionierską pracę doprowadzić do końca – to jest do rozpoczęcia zajęć dydaktycznych z pierwszymi zagranicznymi studentami. Był to bieg z licznymi piętrzącymi się przeszkodami.

Dla przykładu w skrócie przedstawię jeden drobny szczegół, który zaburzył mi spokój i podważał sens zaplanowanego działania. Po zrodzeniu się pomysłu organizacji Studium Anglojęzycznego udałem się do Ministerstwa Zdrowia, przedstawiając swoją koncepcję. Rozmowa była rzeczowa. Ujawnił się jednak problem, że Akademia nie ma konta dewizowego.

Studenci będą więc musieli płacić na konto dewizowe ministerstwa, które wymieniałoby nam wpłacone dewizy na złotówki. „Czy z narzutem?" – spytałem. „Decyzję podejmiemy później" – usłyszałem w odpowiedzi. Myśląc o możliwości uzyskania zgody na założenie konta dewizowego dla Akademii, zadzwoniłem do Ministerstwa Finansów i odbierającą telefon osobę poprosiłem o umożliwienie mi kontaktu z kimś kompetentnym w tej sprawie. Rozmówczyni obiecała powiadomić mnie w ciągu kilku następnych dni. Rzeczywiście, otrzymałem od niej telefon, że pani wiceminister poleciła przekazać mi wiadomość, żebym uzbroił się w cierpliwość. Wkrótce potem przeczytałem w gazecie, że rząd postanowił udzielić zgody na posiadanie konta dewizowego wielu instytucjom państwowym, wśród których były Akademie Medyczne. Po przyjściu do rektoratu tę wiadomość przekazała mi również pani kwestor. Moja nadzieja odżyła i wzięliśmy się do roboty.

Stanęliśmy jednak przed najtrudniejszym problemem – jak zdobyć studentów wobec zupełnego braku rodzimego przykładu i osobistego doświadczenia. Poznań planował szkolenie studentów amerykańskich z programem czteroletnim. My oferowaliśmy program sześcioletni. Prof. Maciej Gembicki w Poznaniu jako organizator miał w latach poprzednich perfekcyjnie i pedantycznie opracowaną ze stroną amerykańską metodę rekrutacji. My, to znaczy prof. Sawicki i ja, jeździliśmy natomiast od szkoły do szkoły po opłotkach Skandynawii, Grecji i Wielkiej Brytanii w poszukiwaniu pojedynczych kandydatów, napotykając dobrze zorganizowane i konfliktowe ekipy rekrutacyjne z Czech i Węgier. Miały one już olbrzymią przewagę ponaddwuletniego doświadczenia w werbowaniu kandydatów na studia u siebie, toteż ktoś z konkurencyjnej ekipy jednoznacznie powiedział mi, że będziemy mogli zakwalifikować tylko tych, których oni odrzucą. Wyczuwałem w tym również podstęp. Jeden taki nagłośniony przypadek wystarczyłby do pełnego zdyskredytowania naszej oferty i prestiżu uczelni. Toteż zdarzało się, że z jakiegoś ośrodka odjeżdżaliśmy nawet bez pojedynczego sukcesu. W pierwszym roku konkurenci odcinali nas skutecznie od miejscowych prywatnych naganiaczy. Taki początek to niemal beznadziejna droga przez mękę.

Dzięki ambasadzie polskiej w Atenach przyjął nas rektor Uniwersytetu Ateńskiego. Szybko nawiązaliśmy kontakt. Podczas rozmowy spytałem, czy zgłosiłby sprzeciw, gdyby kandydaci, którzy podczas egzaminu wstępnego

uzyskali do pięciu punktów mniej niż liczba kwalifikująca do przyjęcia na studia, zostali przez nas zakwalifikowani bez egzaminu. Nie miało to żadnego znaczenia prawnego. Rektor wstrzymał się od formalnej odpowiedzi, ale zastrzeżenia nie zgłosił.

Ta wizyta wzmacniała naszą reputację i prestiż. Informację tę przekazaliśmy naszemu prywatnemu werbunkowemu, z którym uprzednio zawarliśmy niepisaną umowę. Niestety agent ów wraz z kandydatami i informacją zaginął po przekazaniu ich Czechom za sowitą zapewne sumę. Wróciliśmy do kraju z pustymi rękoma. Pieniądze okazały się mieć większą siłę niż prestiż i honorowe umowy. Ponadto Czesi mieli tzw. luźne pieniądze. Spotkania z kandydatami, organizowane przez nich w większych miejscowościach, wzbogacane były poczęstunkiem. Przekonany jestem, że mieli jeszcze pieniądze na nieformalne wydatki, opłacając miejscowych werbunkowych.

Podczas ówczesnych zmagań z przeciwnościami w zdobywaniu zagranicznych kandydatów na studia stosowano metodę werbunku, którą współcześnie uznalibyśmy za politowania godną. Uganianie się za pojedynczymi osobami w różnych miejscowościach to rozrzutność energii i czasu. Nie było jednak dla nas innego rozwiązania wobec działań konkurentów, a byliśmy spóźnieni w stosunku do nich o dwa–trzy lata. Nie mieliśmy pieniędzy, a sukcesu za darmo się nie zdobywa. Grupy czeskie liczyły co najmniej cztery osoby. Wszędzie ich było pełno. Z przypadkowych rozmów z Czechami wynikało, że napotykali na te same co my trudności, tylko o kilka lat wcześniej. Gdybyśmy czekali jeszcze rok, byłoby znacznie trudniej. Tymczasem metodyka rekrutacji wciąż się unowocześniała, aż do wykorzystania internetu włącznie. Można było zacząć załatwiać sprawy, nie wychodząc z domu i bez potrzeby biegania po opłotkach. Ponadto grupy werbunkowe w poszczególnych krajach przybierały charakter firm biznesowych. Dziś, tj. po 31 latach od tamtych czasów, z radością wspominam efekt dawnych zmagań, ale nie odważyłbym się ich powtórzyć.

Nieocenionej pomocy udzielił nam polski lekarz pracujący w Szwecji – dr Andrzej Jedliński. To on skierował do nas wielu kandydatów. W ten sposób omijaliśmy czeskich naganiaczy i werbunkowych.

Egzamin dla kandydatów do naszego studium polegał na losowaniu kartek z wydrukowanymi pytaniami. Dodatkowa rozmowa okazała się istotną częścią egzaminu. Zdobyła wiele pochwał zdających. Komisja złożona była z nas dwóch, a prof. Sawicki występował jako jej przewodniczący.

Po powrocie do kraju nie obyło się niestety bez nieformalnych wprawdzie, ale obiegowych zarzutów, że jeżdżę sobie z panem prof. Sawickim na wycieczki po Grecji, Anglii i Skandynawii na koszt Akademii. Natężenie tych pomówień wzmagało się i dlatego zgłosiłem sprawę do NIK, która po zapoznaniu się ze faktami nie stwierdziła podstaw do wszczęcia śledztwa.

Przed pierwszą podróżą werbunkową nie ogłaszałem otwarcia Studium Anglojęzycznego z uzasadnionej obawy, że mogę nie pozyskać kandydatów na studia w Warszawie. Nie miałem tu bowiem żadnego doświadczenia ani pełnego rozeznania. Dopiero po powrocie do kraju z kilkoma pierwszymi podpisanymi umowami ogłosiłem rozpoczęcie studiów lekarskich w języku angielskim. Po zwerbowaniu kilku następnych kandydatów jako rektor ogłosiłem organizacyjną przynależność powołanego studium do II Wydziału Lekarskiego, oficjalnie informując o tym dziekana tego wydziału prof. Longina Marianowskiego. Prof. Sawicki przekazał natomiast panu dziekanowi opracowany przez siebie plan szkolenia do wykorzystania.

Dla wszystkich oczywistością było, że studium włączone zostanie do I Wydziału Lekarskiego. W moim przekonaniu powinno ono przynosić korzyści całej uczelni. Potężny I Wydział wchłonąłby całkowicie początkowo małe studium i możliwości II Wydziału we współuczestniczeniu w pracy i korzyściach mogłyby nie być uwzględniane. Moją powinnością jako rektora była dbałość o harmonijny wzrost całej uczelni, a nie tylko ówcześnie mojego Wydziału I. Jednakże jako były członek II Wydziału wiedziałem, że ten będący na dorobku młody wydział wymaga organizacyjnego, finansowego i prestiżowego wsparcia.

W takich okolicznościach zostało powołane do życia Studium Anglojęzyczne, w którym wszyscy zagraniczni studenci pierwszego roku zostali przeze mnie i prof. Sawickiego osobiście zwerbowani. Po ukończeniu pierwszego roku nauczania pani kwestor poinformowała mnie, że wszystkie wydatki na prowadzenie studium, łącznie z wyjazdami, zakupami, wynagrodzeniami i nagrodami, zostały pokryte dzięki pieniądzom z opłat studenckich. Tak więc pierwszy rok nowej inwestycji zakończył się dla Akademii bez żadnych strat. Byliśmy pierwszą uczelnią w kraju, która rozpoczęła sześcioletnie studia medyczne w języku angielskim.

Nowo powołane studium szybko wrastało w strukturę uczelni tak, że w nawale spraw i kłopotów, a potem radości, ja i wszyscy razem ze mną zapomnieliśmy o konieczności formalnego powołania tej nowej jednostki organizacyjnej przez senat. Sprawa wybuchła po sześciu latach, kiedy omawiano problem

dyplomów dla kolejnych absolwentów. Dopiero drugi urzędujący po mnie rektor prof. Janusz Piekarczyk formalnie powołał od przeszło sześciu lat funkcjonujące studium jako nową jednostkę organizacyjną uczelni.

Niektórzy jednak nadal wątpili w możliwość ostatecznego sukcesu. Krążyły głosy, że kiedyś, gdzieś, coś pęknąć jednak musi. Powstanie studium szybko natomiast uznano za zwykłe, pospolite, proste, administracyjne codzienne działanie. Interpretowano to tak, że organizatorzy po prostu napisali pismo do władz, które sprawę zaakceptowały.

Takie jest prawo życia mówiące: *Eripitur persona, manet res* (osoba przemija, pozostaje sprawa). To oznacza, że ta *res* – „rzecz" się rozwija i ujawniają się nowe zadania.

Braliśmy z panem prof. Sawickim jeszcze drobny udział w werbunku na drugi rok studiów. Wraz z zakończeniem rektorskiej kadencji nasz związek ze studium został definitywnie zakończony. Nikt nas ani nie pochwalił, nie skrytykował, nie nagrodził, ani nie wyliczał popełnionych błędów. Nie zaproponowano mi nauczania chirurgii w ani jednej grupie studenckiej. Skutecznie przemilczano wartość inicjatywy, włożonej pracy oraz wielkości ryzyka całego przedsięwzięcia, którego materializacja stanowiłaby świetną pożywkę dla przepowiadających klęskę. Z radością natomiast przyjmowałem wieści o dynamicznym rozwoju studium powstałego z inicjatywy i pracy mojej oraz całego zespołu. Odpowiedzialność jednak ponosiłem tylko ja. Następne lata to dla studium czas znaczącego rozwoju i zwiększania jego znaczenia pod wodzą dziekanów II Wydziału.

Po trzech latach, gdy nie byłem już rektorem, nie zostaliśmy z prof. Sawickim zaproszeni na uroczystość wręczenia dyplomów pierwszym studentom, którzy przez nas zostali zwerbowani za granicą na studia w Warszawie. Uroczystość tę przeżyliśmy jednak bardzo radośnie, bo po jej oficjalnym zakończeniu przyszła do mnie do kliniki grupka pierwszych już absolwentów z kwiatami, aby się pożegnać i podziękować za zakwalifikowanie na studia w Warszawie. Wspominaliśmy nasze pierwsze rozmowy podczas rekrutacji z udziałem prof. Sawickiego. Dobrze pamiętam Irlandczyka i moją pierwszą z nim rozmowę w Anglii, podczas której zdecydował się wycofać swoje kandydowanie do Pragi i studiować w Warszawie. Podczas tego ostatniego spotkania wyjaśnił, że o zmianie decyzji zdecydował rzeczowy i przyjazny przebieg egzaminu z ujmującą rozmową. Z radosnym uśmiechem wspominał rozmowę egzaminacyjną oraz dodał, że wyczuł, iż nie tylko o pieniądze nam chodzi.

Wraz z zakończeniem trzeciego roku nauczania w języku angielskim kończył się okres mojej rektorskiej kadencji. Przez kolejne 17 lat nie miałem ze studium żadnego kontaktu, a w tym czasie odbywały się coroczne uroczystości wręczania dyplomów lekarskich. Niespodziewanie otrzymaliśmy z prof. Sawickim zaproszenie dziekana II Wydziału pana prof. Marka Kucha na uroczystość dwudziestolecia istnienia Studium Anglojęzycznego. Pan dziekan poprosił mnie również o wygłoszenie referatu o tym, jak narodziło się studium. Ponadto jasno zakomunikował, że byłem inicjatorem powstania studium, a wraz z prof. Sawickim oraz dyrektorem uczelni inż. Jackiem Żbikowskim także jego organizatorem. Było to pierwsze urzędowe oznajmienie tego faktu. Uroczystość była bardzo radosna, a jej program interesujący. Podczas spotkania ówczesny rektor uczelni prof. Marek Krawczyk zadał wnikliwe pytanie, czy nie bałem się świadomie rozpoczynać organizacji studium bez zgody senatu – ponosząc jedynie osobistą odpowiedzialność. Było to drugie urzędowe stwierdzenie, że byłem inicjatorem i współrealizatorem własnej koncepcji. Odpowiedziałem, że bardzo się bałem, ale współcześnie wiem, że nie bardzo zdawałem sobie sprawę z grożących niebezpieczeństw. Wiedziałem też, że nie ma sukcesu bez ryzyka.

To był ostatni mój kontakt ze studium. Cieszę się jednak ogromnie z bardzo śmiałego jego rozwoju i znaczącego poszerzenia działalności. Przypominam sobie pierwotne obawy członków senatu, że może dochodzić do niezgodności kulturowej wśród młodzieży. Okazało się jednak, że potrafiono doprowadzić do zjednoczenia się przedstawicieli różnych kultur wśród studentów, tak że powstała jedność wielokulturowa.

Organizacja anglojęzycznego studium była przedsięwzięciem wymagającym wielkiego wysiłku i poświęcenia licznej grupy nauczycieli akademickich i pracowników administracyjnych. W tej grupie wyróżnić pragnę najbliższych współpracowników: pana prof. dr Wojciecha Sawickiego i pana dyrektora naszej Akademii inż. Jacka Żbikowskiego. Panom dziekanom II Wydziału Lekarskiego prof. Longinowi Marianowskiemu i prof. Andrzejowi Borkowskiemu, ich prodziekanom ds. studium, ich wszystkim następcom oraz wszystkim pracownikom dziekanatu i całej uczelni składam serdeczne podziękowania za inwencję i pracę włożoną w znaczący rozwój tej nowo powstałej jednostki organizacyjnej. Następcy wybudowali i zorganizowali europejskiej miary ośrodek nauki, dydaktyki i szpitalnictwa. *Feci quod potui, faciant meliora potentes* (Zrobiłem, co mogłem. Kto potrafi, niech zrobi to lepiej).

Akademia i uniwersytet

Bez przydziału

W początkowym okresie transformacji ustrojowej w wyniku reorganizacji wojska część zwolnionych budynków przekazywano uczelniom. Wiele z tych budynków mieściło się w dzielnicy Ochota w pobliżu Centralnego Szpitala Klinicznego. W komisji przyznającej budynki dominującą pozycję zajmowali absolwenci i pracownicy uniwersytetu. Przewodniczącym delegacji Akademii Medycznej był prof. Jerzy Kuch, który mówił mi, że delegacja Akademii była całkowicie ignorowana, a jego argumentacja przemilczana. Nikogo nie interesował fakt, że władze postanowiły odebrać Akademii prawo własności Pola Mokotowskiego i przeznaczyć je dla „Centrum Handlu ze Wschodem", co oznaczało, że nie będzie miejsca na budowę zaplanowanego w 1953 r. szpitalnego Centrum Naukowo-Dydaktycznego o europejskim standardzie. Na rozpoczęcie budowy czekaliśmy prawie 40 lat. Natomiast infrastruktura posiadanej własności była XIX-wieczna.

Nikogo nie wzruszyła też wiadomość, że spółdzielnia mieszkaniowa żąda opuszczenia przez rektorat gmachu przy ul. Filtrowej, a ani miasto, ani ministerstwo nie znajdowały żadnego rozwiązania tego problemu. Przedłużano Akademii możliwość użytkowania na coraz to krótsze i droższe okresy, podnosząc i tak wysoki koszt za wynajem, płatny z własnego budżetu Akademii. Jedynym rozwiązaniem było więc rozczłonkowanie urzędów rektoratu i przeniesienie do wielu lokalizacji w różnych szpitalach i wynajętych pomieszczeniach. Rektor pozostawał bezdomny. Podobny los dotyczył wielu innych jednostek uczelni. Dlatego liczyliśmy, że dostaniemy wsparcie w postaci budynku przekazanego przez wojsko, jednak ostatecznie budynki te przyznano Uniwersytetowi Warszawskiemu. Akademia Medyczna nie otrzymała żadnego przydziału, pomimo że byliśmy w naglącej potrzebie, ponieważ odebranie własności Pola Mokotowskiego i wstrzymania zaplanowanych tam inwestycji oznaczałoby klęskę rozwojową Akademii.

Dyskusja na najwyższym szczeblu

W czasie, gdy rektorem Akademii był prof. Jan Nielubowicz, ja byłem prorektorem. Któregoś dnia, gdy profesor był za granicą, otrzymałem telefoniczne wezwanie do Urzędu Rady Ministrów. Poinformowałem sekretarkę, że nie jestem rektorem i że nie mam uprawnień do podejmowania decyzji na tak wysokim szczeblu. Sekretarka oznajmiła mi, że moje nazwisko podał sam pan premier Zbigniew Messner (był on Prezesem Rady Ministrów w latach 1985–1988). Spytałem wówczas, czy może mi powiedzieć, jaka sprawa będzie przedmiotem rozmowy. W odpowiedzi usłyszałem, że „jak pan przyjedzie, to się pan dowie".

W trybie natychmiastowym udałem się do premiera i ku mojemu największemu zdziwieniu zastałem w jego gabinecie wicepremiera Zbigniewa Gertycha, rektora Uniwersytetu Warszawskiego prof. Grzegorza Białkowskiego, ministra nauki prof. Benona Miśkiewicza oraz ministra zdrowia Mirosława Cybulkę. Poza premierem najważniejszą dla mnie osobą był prof. Grzegorz Białkowski, który był profesorem fizyki, a poza tym zajmował się filozofią, polityką i poezją. Był też senatorem pierwszej kadencji. Cały ten zespół zrobił na mnie duże wrażenie i pomyślałem, że będzie rozpatrywana jakaś nieznana mi sprawa. Zastanawiałem się, co ja jako prorektor bez uprawnień tutaj robię. Jak błyskawica przeleciała mi myśl, że pewnie odgrywać będę tutaj rolę chłopca do bicia, pomimo że nie wiedziałem za co.

Pan premier zaprosił prof. Białkowskiego do przedstawienia sprawy, w której chodziło o opuszczenie przez Akademię budynku mieszczącego się na terenie uniwersytetu na Krakowskim Przedmieściu. Skarżył się, że Akademia od wielu lat zajmuje ten budynek i pomimo wezwań nie chce go opuścić. Użył nawet określenia, że „oni tam siedzą i siedzą, a nie wiadomo, co oni tam w ogóle robią". Zmartwiło mnie, że pan rektor w niekorzystny sposób opisuje władzom państwa działalność naszej uczelni. Zdawałem sobie sprawę, że opinia bardzo wpływowej osoby może spowodować negatywny stosunek władzy do naszej uczelni.

Po dziesięciominutowym wystąpieniu pana rektora głos zabierali wszyscy uczestnicy spotkania, z wyjątkiem ministra zdrowia, i wszyscy przekazywali jakieś drobne negatywne opinie o zasiedzeniu Akademii na terenie uniwersytetu. Po tych wystąpieniach prof. Białkowski podsumował wypowie-

dzi, stwierdzając, że jeżeli pan premier nie usunie Akademii z tego budynku, to on będzie musiał zamknąć przyjęcia na wydział biologii.

Pan wicepremier zwrócił się do mnie słowami: „I co pan na to?". Powiedziałem, że wszyscy absolwenci Wydziału Lekarskiego od przedwojennych czasów przez trzy lata pobierali nauki w tym właśnie budynku. Tu mieściły się i mieszczą katedry, bez których nie ma nauczania medycyny. Są to katedry: fizjologii, patofizjologii, farmakologii i chemii fizjologicznej. Ja sam w tym budynku zdawałem egzamin z fizyki i zaliczeniowe kolokwium z chemii analitycznej. W ten właśnie sposób trzeba spojrzeć na aktywność Akademii, której pan rektor tu sobie nawet nie wyobraża. Na zakończenie powiedziałem, że sprawę rozwiązać może tylko pan premier, ale będzie musiał podjąć decyzję, czy wstrzymać przyjęcia na biologię czy medycynę i dodatkowo przerwać aktualnie prowadzone zajęcia na medycynie. Po mojej wypowiedzi zapadło głuche milczenie, pękł balon nadymany zepsutym powietrzem. Użyłbym nawet zwrotu „głupie milczenie", ponieważ taka atmosfera zapanowała, gdy wyjaśniłem brak merytorycznego sensu w oskarżaniu Akademii o zasiedzenie.

W dalszej części rozmowa się już nie kleiła. Pan wicepremier spytał, czy zebrani tu w gabinecie państwo nie znają jakiegoś wolnego budynku, do którego można by przenieść jednostki Akademii. Pan premier zaprosił wszystkich do zabrania głosu. Gdy wyczuwałem, że cisza, jaka wtedy zapadła, już się kończy, podniosłem rękę i usłyszałem „proszę". Wstałem i zabrałem głos. „Ja widzę tylko jedno rozwiązanie, ale za to dobre, bo trwałe, a nie tymczasowe. Utrzymać Pole Mokotowskie jako własność Akademii. Gwarantuję, że Akademia jako pierwszy postawi budynek nauk podstawowych i natychmiast się tam przeniesie". W krótkiej dalszej rozmowie wyrażano troskę, szukając rozwiązania problemu. Powiedziano, że moja propozycja byłaby bardzo dobra, gdyby nie była skomplikowana. Ja ją oceniałem jako najprostszą. Brakowało jej tylko politycznej woli.

Pomyślałem sobie, że starcia z panem rektorem uniwersytetu nie przegrałem. Na zakończenie pożegnanie polegało na wzajemnym podaniu sobie rąk przez uczestników. Tylko jedna osoba mnie ominęła.

Nastał potem spokój i do końca kadencji do tego tematu nie wracano. W mojej pamięci pozostało wrażenie nieakademickiego, a nawet antyakademickiego postępowania wobec Akademii. Opisane wydarzenie świadczy o zupełnym braku zainteresowania pana rektora UW problemami, z jakimi

boryka się nasza uczelnia, a w sumie doszedłem do wniosku, że byliśmy dla uniwersytetu jednostką obcą, do całkowicie bezwzględnego traktowania. Odebrałem to jako złowieszcze sygnały.

Wydarzenie to bardzo przeżyłem, jednakże postanowiłem nie informować o tym szerokiej społeczności, by nie antagonizować jej z uniwersytetem. Liczyłem, że następni rektorzy tworzyć będą akademicką wspólnotę w oparciu o wzajemne zrozumienie. Zdawałem sobie też sprawę, że aktualni rektorzy niedługo zakończą swoje kadencje.

Próba zjednoczenia

Od chwili połączenia się Akademii Medycznej w Krakowie z Uniwersytetem Jagiellońskim w 1993 r. coraz częściej mówiono o połączeniu Akademii Medycznej w Warszawie z uniwersytetem. Temat nie budził ani obaw, ani wnikliwego zainteresowania społeczności naszej uczelni. W prywatnych rozmowach wszyscy profesorowie starszej generacji, którzy mieli lekarskie dyplomy wydane jeszcze przez uniwersytet, zdecydowanie popierali powrót do swej dawnej Alma Mater. Młodsze pokolenia były raczej za utrzymaniem samodzielności.

Bardzo znaczącą aktywność w sprawie połączenia Akademii z uniwersytetem wykazywały jego władze, których rektor prof. Andrzej Wróblewski pełnił funkcję przewodniczącego Rady ds. Nauki przy Prezydencie RP Lechu Wałęsie. Wprawdzie i ja byłem przewodniczącym podobnej rady przy prezydencie – ds. ochrony zdrowia, ale sprawa dotyczyła stosunków między uczelniami i dlatego pozycja profesora rektora UW w tej sprawie była bardzo mocna.

Uniwersytet w ramach transformacji zdobył wiele budynków wojskowych, a Akademia Medyczna, pomimo starań specjalnej komisji pod kierownictwem prof. Jerzego Kucha nie otrzymała żadnego przydziału. Ponadto, jak wcześniej opisałem, Burmistrz Dzielnicy Ochota z poparciem Urzędu Rady Ministrów odebrał Akademii przyznane w 1953 r. prawo własności Pola Mokotowskiego, przeznaczając je dla „Centrum Handlu ze Wschodem". Oznaczało to rozwojową klęskę Akademii. Z planowanej i rozpoczętej już budowy szpitalno-akademickiego miasteczka pozostałby tylko kikut. Obniżało to prestiż i znaczenie uczelni w świecie naukowo-akademickim.

Na posiedzeniach Kolegium Rektorskiego Uczelni Warszawskich, którego przewodniczącym był prof. Andrzej Wróblewski, wypowiadano się raczej za połączeniem Akademii z uniwersytetem jako wydziału, jak to było przed wojną i po wojnie do 1950 r. Stanowisko komitetu było mocnym atutem przemawiającym za połączeniem obu uczelni.

Znaczącą siłą przemawiającą za połączeniem obu placówek byli dziennikarze i cała prasa. Ukazywało się wiele artykułów oraz wywiadów z rektorem i władzami uniwersyteckimi popierającymi myśl połączenia. Stanowisko prasowe nawiązywało do historii. W tym czasie żaden z dzienników nie zrobił wywiadu z rektorem Akademii Medycznej ani nie przedstawił opinii rektora i środowiska tej uczelni. Koncepcje reprezentowane przez prasę były bardzo szeroko nagłaśniane.

Jako rektor Akademii Medycznej otrzymałem wówczas pismo od rektora uniwersytetu, w którym jednoznacznie i bezdyskusyjnie mówił o połączeniu obu uczelni od początku najbliższego roku akademickiego. Statut miał być opracowany po połączeniu się uczelni. Treść otrzymanego pisma nosiła więc cechy ingerencji w autonomię naszej Akademii. Na wspólnych posiedzeniach postulowałem przedyskutowanie najpierw sprawy na uczelniach, a w następnym etapie opracowanie statutu. Dopiero po uzyskaniu zgody obu stron na jego wersję można by przystąpić do zjednoczenia. Presja dziennikarska również nie uwzględniała samodzielności uczelni. Opracowaną odpowiedź na pismo rektora UW przedstawiłem na posiedzeniach wszystkich rad wydziałów uczelni. Uzyskałem zgodę na wysłanie podanej treści odpowiedzi do pana rektora UW. W tym czasie odbywało się wiele przeróżnych spotkań, które niestety jednostronnie przedstawiały sprawę. Pamiętać należy, że połowę czasu swego istnienia Akademia przeżyła samodzielnie, a połowę w łączności z uniwersytetem. Zdawałem sobie sprawę, że wobec istniejących możliwości rozwoju jeden szczebel nadzorczy nieznający, nierozumiejący problemów Akademii może nie uwzględniać interesów uczelni oraz że własne kierownictwo lepiej rozumie i sprawniej poprowadzi dalszy jej rozwój.

Współcześnie współpraca między uczelniami nawet na różnych kontynentach z łatwością może być prowadzona, w związku z rozwojem środków łączności, bez potrzeby administracyjno-biurokratycznej zależności. Powinniśmy zachować i popierać raczej łączność naukową, bez konieczności ustalania podległości administracyjno-organizacyjnej. Związek Akademii z uniwersytetem powinien być przede wszystkim naukowy, społeczny

i szeroko akademicki. Zdajemy sobie sprawę, że wpływ uniwersytetu na rozwój Wydziału Lekarskiego w przeszłości był znamiennie twórczy i dlatego chcielibyśmy utrzymać naukową i akademicką więź. Dobrym przykładem takiej więzi była wspólna inauguracja roku akademickiego w poprzednich latach. Ta uroczystość bardzo zbliżyła społeczności akademickie obu uczelni i wyrażała wielką wartość historyczną naszej dawnej wspólnoty. Dzięki temu Akademia Medyczna zajmowała należne jej miejsce. Akademia Medyczna z dumą szczyci się swym pochodzeniem od Uniwersytetu Warszawskiego. Dojrzała jednak do samodzielnego bytu i samorządu, pozostając w uniwersyteckiej i akademickiej rodzinie.

W dyskusji na jednym z otwartych spotkań, które odbyło się w sali posiedzeń senatu uniwersytetu, zupełnie nie uwzględniano argumentów Akademii, traktując połączenie tylko jako działanie techniczne. Po połączeniu Akademia Medyczna reprezentowana byłaby w senacie uniwersytetu tylko przez 3–4 członków. Nie miałaby więc praktycznie żadnego wpływu na jakość opracowywanego statutu i dobro Akademii. Gorącą dyskusję zakończyłem stwierdzeniem, że jako rektor Akademii Medycznej, reprezentując swą społeczność akademicką i w dbałości o jej przyszłość, nie zgadzam się na łamanie posiadanego prawa autonomii. W związku z tym nie ma mojego przyzwolenia na żaden „anszlus", bo taki charakter miałoby połączenie uczelni przed opracowaniem i przyjęciem przez obie społeczności statutu. Sprawę uważam za zakończoną. Ideę łączności należy jednak kontynuować na prawno-akademickich zasadach.

Pierwotnie istniejące napięcie między uczelniami zastąpione zostało układem spokojnym i wzajemną wyrozumiałością. Wszystko wróciło do normy. Z inicjatywy i decyzji rektora UW prof. Wróblewskiego dwie wspólne inauguracje roku akademickiego miały szczególnie uroczysty charakter. Rozpoczynał je wspaniały przemarsz ulicami od Collegium Maximum do Teatru Wielkiego licznie zgromadzonej społeczności obu uczelni. We wspaniałym miejscu i oprawie wiele znamienitych osobistości wygłosiło przemówienia z wieloma wartościowymi inicjatywami. Prasa, radio i telewizja walnie się przyczyniły do tego, że wszyscy Warszawiacy w jakimś stopniu partycypowali w naszym święcie.

W czasie mojej drugiej kadencji uzgodniłem z komendantem garnizonu warszawskiego, że uroczystość wspólnej inauguracji rozpoczynać się będzie złożeniem wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza w asyście wojskowej

kompanii honorowej. Rektor uniwersytetu prof. Włodzimierz Siwiński oraz senat myśl tę popierały i zyskały uznanie naszych społeczności. Wraz z zakończeniem naszych kadencji zwyczaj ten nie był kontynuowany, ale relacje między rektorami i uczelniami były bardzo przyjazne i dojrzałe, oparte na wzajemnym zrozumieniu.

W długiej historii obu naszych uczelni przedstawione fakty były wydarzeniami sporadycznymi, aczkolwiek bardzo znaczącymi. Były one raczej wyrazem stanowiska pojedynczych osób pełniących funkcję rektora. Myślę, że pierwotną przyczyną wszystkich tego typu zajść była zupełna nieznajomość życiowych potrzeb i możliwości rozwojowych Akademii Medycznej. Zastanawiający jest jednak fakt, dlaczego w proponowanym zjednoczeniu widziano Akademię Medyczną jako jeden z licznych wydziałów uniwersytetu, a nie posłużono się wzorem Krakowa i nie wzięto pod uwagę powołania Collegium Medicum jako jednostki o istotnie większej autonomii niż wydział. Zadziwiająca jest więc chęć zdeprecjonowania pozycji Akademii do poziomu wydziału. Tu najwyraźniej widać brak zrozumienia wielkości, wartości i możliwości Akademii. Chciano tylko widzieć Akademię jako jednostkę podległą. W okresie samodzielności powstały nowe jednostki organizacyjne, które w przypadku wydziału nie mogłyby się rozwinąć.

Jak się okazało, samodzielny rozwój uczelni doprowadził do znaczącego jej rozkwitu z osiągnięciem poziomu europejskiego. Współcześnie jedynym argumentem przemawiającym za zjednoczeniem obu takich uczelni są tylko argumenty historyczne.

Wydział Farmaceutyczny, blok F2 oraz F3 w budowie, widok od ul. Żwirki i Wigury, wrzesień 1972 r.

☛ Zespół gospodarczy – montaż szalunków, grudzień 1972 r.

☛ I zespół klinik – poliklinika, bloki B i C, sierpień 1973 r.

☛ Widok od ul. Banacha, maj 1972 r.

☛ Widok od ul. Trojdena, czerwiec 1972 r.

☛ Budowa rektoratu
przy ul. Żwirki i Wigury 61 w 1998 r.

☛ Budowa rektoratu
przy ul. Żwirki i Wigury 61 w 1998 r.

☛ Budynek rektoratu współcześnie

UNIWERSYTET MEDYCZNY
ARSZAWSKI
UNIWERSYTET MEDYCZNY

☛ Dziecięcy Szpital Kliniczny UCK WUM

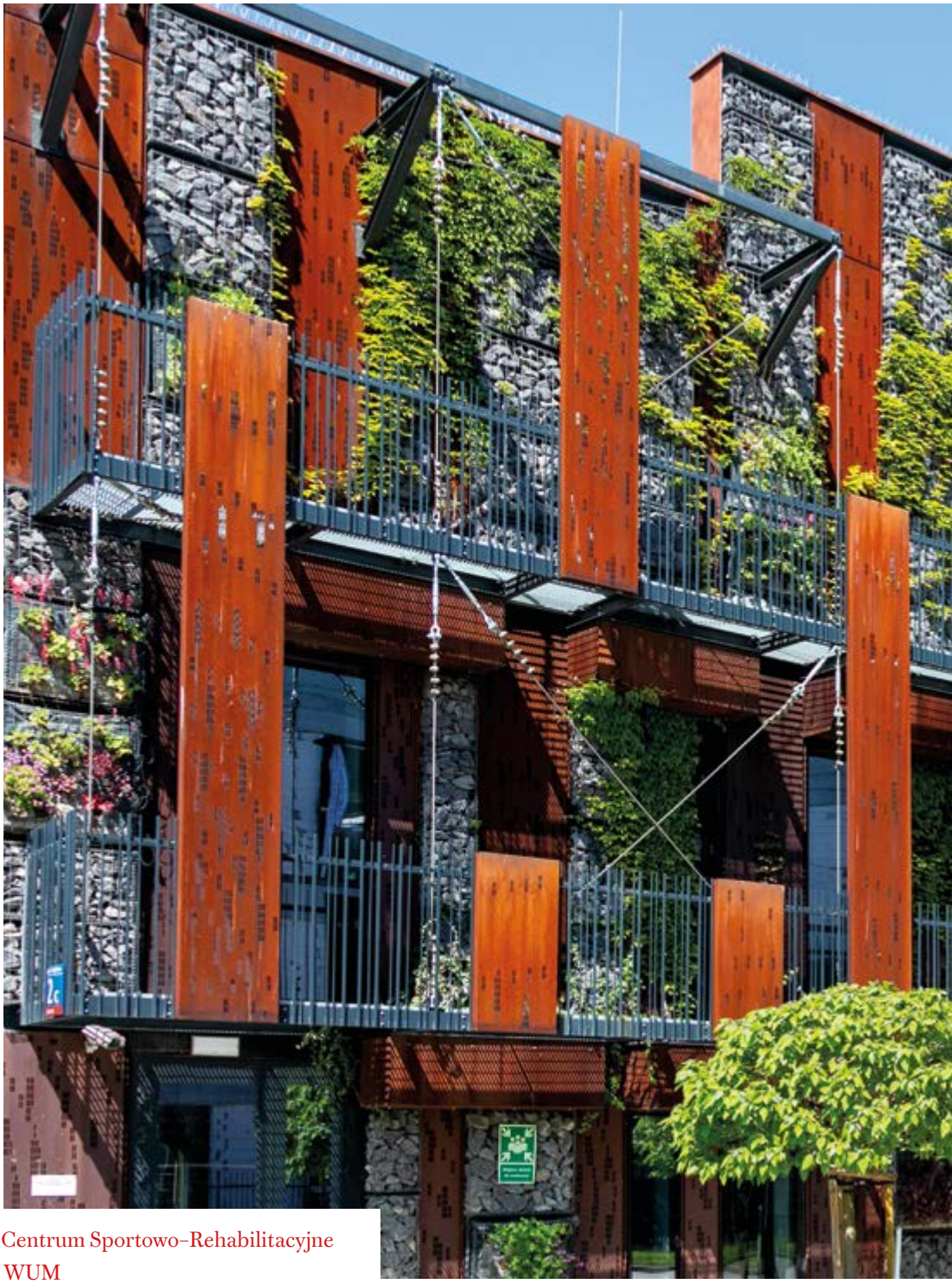

☛ Centrum Sportowo-Rehabilitacyjne WUM

☛ Uniwersyteckie Centrum Stomatologii WUM

☛ Centrum Badań Przedklinicznych i Technologii (CePT)

☛ Centrum Symulacji Medycznych WUM

☛ Kampus Banacha

Prorektorstwo

W 1981 r. w atmosferze wielkiego entuzjazmu odbyły się pierwsze w dziejach Akademii Medycznej w Warszawie wolne wybory rektora. Żywiołowo radosny miały one przebieg. Oznaczało bowiem to koniec supremacji polityki nad nauką.

Rektorem został wybrany prof. Jan Nielubowicz. Zaproponował mi stanowisko jednego z trzech prorektorów. Do głosowania wybrał sześciu kandydatów. Na każde stanowisko wypadło dwóch kandydatów. Jeden prorektor został wybrany ds. nauki, drugi ds. studenckich. Mnie zostało stanowisko prorektora ds. kadrowych oraz szpitale, współpraca z regionem, zagranicą i wydarzenia bieżące. Zaprotestowałem. Pan rektor podtrzymał decyzję, mówiąc, że będzie mi pomagał. Wciągnięty jednak został w obowiązki doradcy w Sejmie i w NSZZ Solidarność, pracę w Kolegium Rektorskim Warszawy i w Krajowym Kolegium ds. Szkół Wyższych oraz w spotkania ze studentami. Często spotykał się też z ks. prymasem Józefem Glempem.

Wkrótce po objęciu przez nas stanowisk został ogłoszony stan wojenny. Prorektora ds. kadrowych zaczęto nazywać prorektorem ds. wyrzucania studentów, asystentów i profesorów. Sprawy te obejmowały problemy moralne, polityczne i akademickie.

W czasie stanu wojennego (polegam na pamięci) odwołanych zostało 14 zespołów rektorskich, kilkunastu prorektorów i kilku dziekanów. Pracowaliśmy w atmosferze możliwości natychmiastowego odwołania. Na korytarzu padały skierowane do mnie pytania: „Co wy tu jeszcze robicie? Czy jesteście już spakowani? Czy znalazłeś już sobie jakąś nową pracę?". Prawdę mówiąc, byliśmy przygotowani do wyprowadzenia nas z rektoratu w każdym momencie. Wraz z rektorem stanęliśmy wobec problemów moralnie nierozwiązywalnych. Ani profesor Nielubowicz jako rektor, ani ja jako prorektor ds. kadrowych, pomimo wielkich wysiłków i starań, rozmów, apeli, telefonów, wizyt mających nawet tylko formalne znaczenie, praktycznie nie mieliśmy żadnej *executive power* – władzy wykonawczej. Kto by się liczył z władzą skazaną na wysoce prawdopodobne usunięcie w atmosferze skandalu? Składaliśmy przeróżne wizyty, pisaliśmy konieczne pisma, jak się okazało – do urzędowych szuflad, ale znalazła się jednak zbawienna osoba, która w sposób istotny przyczyniła się do zrównoważonego, rozsądnego rozwiązania problemów, zwłaszcza personalnych.

Zarówno Akademia, rektor, ja i cała nasza akademicka społeczność zawdzięczamy umiarkowany na ogół przebieg stanu wojennego przede wszystkim zmarłemu później komisarzowi wojennemu panu płk. dr. Tadeuszowi Fronczakowi, który ustrzegł nas przed moralnymi, personalnymi i akademickimi zdrożnościami. To on uchronił zagrożone osoby przed relegowaniem z uczelni, a także wybranego, a nie mianowanego rektora z zespołem od odwołania, jakie spotkało wiele zespołów rektorskich wyższych uczelni w Polsce, w tym rektora UW prof. Henryka Samsonowicza. Wszelkie pisma wysyłane do władz państwowych docierały do rąk komisarza i on załatwiał je skutecznie. Do końca życia będę miał wyrzuty sumienia, że nie uhonorowaliśmy należycie postawy, osiągnięć i osobowości pułkownika dr. Tadeusza Fronczaka za podejmowane przez niego nadzwyczajne działania.

Kiedy zostałem wezwany do ministerstwa z żądaniem anulowania zgody na wyjazd jednego z kolegów do USA, odmówiłem, stwierdzając, że nie mam uprawnień ani do wyrażania zgody na wyjazd, ani do jej cofnięcia w oparciu o polityczne kryteria. Wiceminister zakończył posłuchanie, a właściwie pokrzykiwanie słowami – że władza zupełnie nie ma do mnie zaufania, ale i tak dni nasze są policzone. Świadkiem rozmowy była pani prof. B. Rafałowska jako przedstawicielka kierownika kliniki.

Zapamiętałem z tamtych czasów jeszcze jeden szczegół: gdy wezwany zostałem na posiedzenie do ministerstwa, padało tam wiele oskarżeń pod adresem władz uczelni. Pamiętam dokładnie jedno stwierdzenie, że „wyniki kontroli NIK nie zostały politycznie wykorzystane". Myśl ta powróciła do mnie raz jeszcze już w okresie mojej rektorskiej kadencji. W miarę narastających oskarżeń spodziewać się można było, że za chwilę padnie wniosek o odwołanie rektora z jego zespołem. W kulminacyjnym punkcie zabrał głos płk. dr Fronczak, mówiąc (cytuję z pamięci): „Chcecie odwołać Nielubowicza? Czyście zwariowali? Będziecie mieli następnego po Samsonowiczu cierpiętnika (odwołano zespół rektorski UW w kwietniu 1982 r. – TT). To dopiero on wam pokaże w prasie i radiu zagranicznym, jak się w Polsce cierpi, a ma on rozległe koneksje międzynarodowe. Co tam Samsonowicz". Był to argument nie do odrzucenia. Nikt mnie potem jednak nie pytał, czy się rozpakowaliśmy.

W poniedziałek rano po niedzielnym ogłoszeniu stanu wojennego pojechałem wprost do rektoratu, a nie do kliniki. Wkrótce przyjechał rektor. Rozmawialiśmy z dziekanami i kierownikami niektórych katedr w sprawie

studentów, którzy bez natłoku i spokojnie zaczynali się gromadzić przed budynkami swoich zakładów. Ustaliliśmy łączność między nami. Profesor pojechał do kliniki, ja jeszcze zostałem i w pewnym momencie do pokoju wszedł znany mi profesor z Instytutu Gruźlicy w stroju wojskowym i z oznaczeniami rangi kapitana. Bez powitania z podaniem ręki bardzo ostrym tonem zażądał, abym zdał mu relację, co zrobiliśmy, jakie zarządzenia wydaliśmy w związku ze stanem wojennym. Odpowiedziałem, że do tej pory utrzymuje się spokój, choć zbierają się nieliczne grupy studentów i zachowują się poprawnie, ale z energetycznym pobudzeniem. Pan kapitan po wysłuchaniu powiedział, że jesteśmy nieprzygotowani na zamieszki i nasza postawa jest wroga wobec władzy. Będziemy musieli temu zaradzić.

„Panie kapitanie – powiedziałem – mówi do pana major rezerwy Wojska Polskiego, który w czasie wakacji był na dużych manewrach, pełniąc funkcję zastępcy komendanta szpitala polowego Brygady Ochrony Rządu oraz Naczelnego Chirurga. Szpital nie był jednostką frontową i wpajano nam maksymalną czujność, gotowość i przygotowanie do natychmiastowej reakcji. W aktualnej sytuacji istniejącego spokoju doszedłem do wniosku, że wydawanie jakichkolwiek zarządzeń restrykcyjnych może spowodować złość i ruchawkę wśród studentów. Dlatego nie wydawaliśmy zarządzenia, ale ustaliliśmy metody łączności".

Mimo dalszych wyjaśnień pan kapitan powiedział, że nasze stanowisko jest negatywne w stosunku do oczekiwań władzy i że zda z tego raport. Uspokajałem kapitana słowami: „W przypadku jakichkolwiek nieprzewidzianych zachowań studenckich natychmiast uda się tam jako środek uspokajający pan rektor Nielubowicz, który miał zdolności rozmawiać, nawiązywać kontakt i uspokajać wzburzonych studentów". Tak jak przy powitaniu pożegnaliśmy się bez podania sobie rąk.

Społeczność studencka zaczęła przekraczać granice spokoju, więc rektor pojechał do niej i był ze studentami przez kilka dni. Nawet po latach uważam, że nasze spokojne zachowanie wobec braku niepokoju we wstępnym okresie było właściwe.

Prof. Nielubowicz był nie tylko moim nauczycielem chirurgii, ale jego bogata osobowość wpływała znacząco na tok mego rozumowania i ustalania życiowych priorytetów, zwłaszcza w okresie jego rektorskiej, a mojej prorektorskiej kadencji. Któregoś dnia profesor powiedział mi: „Tadziu, to dobrze i cieszę się, że przeistoczyłeś się z asystenta w prorektora. Dojrzałeś

do samodzielności i ja ci w pełni ufam". Od tego dnia wszelkie nasze rozmowy w rektoracie poza załatwianiem bieżących spraw odbywały się nie przez biurko, ale przy okrągłym stoliku.

Bywały sytuacje szczególne. Poniedziałek 14 grudnia 1981 r., pierwszy dzień po wprowadzeniu stanu wojennego. Wstrzymanie zajęć dydaktycznych w uczelniach i szkołach. Uczelnia „stoi" – życie w pierwszej fazie zamarło. Widmo niepewności, beznadziejności z tysiącem wątpliwości prawnych, moralnych, obyczajowych, akademickich. Rozmowa z profesorem przy wspomnianym stoliku w rektoracie. Profesor zwrócił się do mnie z aktorską intonacją, cytując z II części „Dziadów" Mickiewicza:

– Co to będzie? Co to będzie?

Spytałem wówczas:

– Panie profesorze, właśnie zastanawiałem się, co myśleli i jak działali rektorzy Uniwersytetu Wileńskiego podczas zaborów. Przecież Nowosilcow pisał do carycy Katarzyny, że na uniwersytecie panuje nieszczęsny duch polski.

Profesor przerwał mój wywód.

– A wiem, co oni myśleli. Myśleli i działali tak, aby za wszelką cenę polska młodzież, polscy studenci mogli się uczyć, kształcić i aby mogła rozwijać się myśl w głowach Polaków poprzez nieprzerwaną pracę naukową. Uczelnia musi nieprzerwanie kształcić i pracowników, i młodzież.

– Za wszelką cenę? – spytałem ze zdziwieniem.

– Tak, za wszelką cenę – bo taki jest nasz narodowy obowiązek.

Po chwili dodał:

– No może... prawie za wszelką cenę.

– No dobrze, ale gdzie jest granica, przy której trzeba będzie powiedzieć *non possumus*? Rozumiem oczywiście, że jest ona zależna od wielu uwarunkowań i okoliczności.

– Z pewnością, ale zauważ, że kardynał Wyszyński wiedział, że granica istnieć musi. Jednak też nie określił precyzyjnie jej przebiegu.

Pierwotna myśl profesora, choć w swej istocie była pozornie prozaiczna i oczywista, to jednak była wyrazem jego wielkiej mądrości i odpowiedzialności. Pamiętać należy, że pojęcie nauki zawsze i nierozerwalnie wiąże się z wolnością myśli. Zrozumiałem wówczas, że nie wystarczy być inteligentnym. Nade wszystko trzeba być mądrym i uczciwym. *Mądrość jest ładem życia* (Immanuel Kant).

Nauka

W końcu lat 70. ubiegłego wieku uzyskałem z British Council stypendium na wizytę studyjną w Hammersmith Hospital w Londynie. Szpital ten cieszył się wówczas opinią jednego z wiodących centrów nauk klinicznych w Europie. Już przy wejściu, a potem również na ścianach korytarzy nalepione były duże afisze z informacją, że prof. Andrzej Górski z Polski wygłosi wykład. Skorzystałem z okazji, aby uczestniczyć w tym wykładzie, który okazał się wielkim sukcesem profesora z bardzo interesującą i żywo przebiegającą dyskusją. Znaliśmy się wówczas z profesorem tylko z widzenia. I tutaj rozpoczęła się nasza współpraca i przyjaźń. Po latach, kiedy zostałem rektorem, to właśnie profesorowi Górskiemu zaproponowałem stanowisko prorektora ds. nauki, pomimo że byliśmy kontrkandydatami w wyborach na rektora. Zaproszenie zostało przyjęte.

Organizację nauki w Polsce określa Ustawa o nauce i szkolnictwie wyższym. Zadaniem rektora było optymalnie wykorzystać stworzone warunki pracy dla dobra nauki. Prorektor prof. Górski jako naukowiec w sposób bardzo kompetentny mobilizował studentów i nauczycieli do wysiłku w nauce. Do znacząco wyróżniających się w tym czasie osiągnięć profesora należała organizacja sześciu międzynarodowych konferencji naukowych w Warszawie, na których prelegentami były znane osoby piastujące najwyższe stanowiska w naukowej hierarchii na świecie. Dla przykładu podam: redaktor naczelny *The British Medical Journal*; dziekan ds. akademickich z University of California w San Diego; dyrektor ds. naukowych Centrum Badań Naukowych Kennedy School of Government z uniwersytetu Harvarda (Cambridge, MA, USA); dyrektor ds. naukowych Centrum Badań Naukowych McGill University (Montreal, Kanada); dyrektor The Office of Research Integrity z US Dept. of Health and Human Services (Washington, DC, USA); dyrektor działu z Francuskiego Narodowego Instytutu Badań Zdrowia i Medycyny (INSERM) w Paryżu. Posiedzenia odbywały się w auli uczelni lub czasami w Pałacu Prezydenckim. Konferencje te traktowane były jako bardzo prestiżowe wydarzenia naukowe i znacząco wzmacniały rangę naukową naszej Akademii.

Ponadto profesor Górski załatwił z redakcją znajdującego się na liście filadelfijskiej czasopisma *Science and Engineering Ethics*, że prezentacje będą kwalifikowane do publikacji w tym właśnie kwartalniku. Wszystkie

wystąpienia z wszystkich konferencji – w tym również zaproszonych autorów polskich (oraz moje) zostały przyjęte do publikacji. Wzmacniało to prestiż uczelni i osobiście profesora Górskiego jako przewodniczącego komitetu naukowego konferencji.

Nauka i wiedza

Nie wchodząc w szczegóły, podzielę się osobistymi przemyśleniami na temat nauki, którymi kierowałem się w swojej pracy rektora.

Cała nasza kultura i cywilizacja wyrosła na zrodzonych w basenie śródziemnomorskim kulturze antycznej i myśli judeochrześcijańskiej. Mówiąc obrazowo, praźródła naszej mentalności, a więc i kultury, wytrysły na jednej górze i trzech wzgórzach.

Na górze Synaj objawiony został Dekalog. Jego normy ze względu na zwięzłość mają jednak tak bardzo wysoki poziom ogólności, że przewrotność myśli ludzkiej potrafiła z łatwością wypaczyć choćby tak prostą zasadę, jak miłowanie bliźniego.

Idąc dalej, Akropol stał się symbolem demokracji. Ale w demokracji panuje większość. Jednak my chcemy, by w nauce i życiu panowała prawda. Prawd, w tym prawd naukowych i moralnych, nie ustala się drogą głosowania. W nauce sprawdza się oświecony absolutyzm. Jeśli jednak w życiu społeczeństwa panować ma polityczny absolutyzm, to ostatecznie już lepiej niech będzie ta demokracja – chociaż bez standardów moralnych demokracja staje się jeszcze większym klanowym zagrożeniem.

Kapitol z kolei jest symbolem prawa. Lecz jakże często mamy do czynienia z nieludzkim prawem. Mamy też prawa pisane i zwyczajowe, ale zupełnie podobnie jest z bezprawiem. Sama sprawiedliwość prowadzi do moralnego wykroczenia. Rzymianie mówili: *Summum ius summa iniuria* – samo prawo to najwyższa krzywda. Wniosek, jaki się nasuwa, to stwierdzenie, że i demokracja, i prawo wymagają moralnego fundamentu. Współcześnie natomiast – zwłaszcza w medycynie klinicznej – widoczne są wysiłki zmierzające do zatarcia różnic między tym, co legalne, a tym, co moralne.

Trzecim wzgórzem jest wzgórze Golgoty, będące źródłem etyki opartej na koncepcji prawdy, godności człowieka, dobra i miłości.

Nasza kultura i cywilizacja wyrosły i jak dotychczas wciąż jeszcze opierają się na dwóch filarach: nauce i moralności.

„Co to je człowiek?”

Zapytano niegdyś górala – filozofa z opowiadań ks. Józefa Tischnera: *Co to jest człowiek? Człowiek to je rozum..., no i ta cało resta* – brzmiała odpowiedź. Ta cała reszta, czyli materia, którą my się zawodowo zajmujemy, zupełnie nie wystarcza do wyjaśnienia istoty człowieczeństwa. Ale ta cała reszta wpływa jednak znacząco na nasze procesy myślowe. Wystarczy ból zęba, nie mówiąc już o zwężeniach tętnic szyjnych i mózgowych czy chorobie Alzheimera.

Starożytni Rzymianie mówili: *Mens agitat molem*– myśl porusza ogrom świata. Liza Minnelli natomiast śpiewała, że to pieniądze: *The money makes the world go round*. Ja jednak twierdzę, że to nie myśl i nie pieniądze oddzielnie poruszają ogrom świata, ale to myśl o pieniądzach jest siłą sprawczą postępu.

Mówiąc o nauce, trzeba stwierdzić, że podstawowym jej celem jest poszukiwanie prawdy. Oczywistością jest, że zasięg nauki jest nieograniczony – ale czy sama nauka ma granice? Wbrew pozorom nauka posiada granice, a są to: kłamstwo, pozory i zło. Z kłamstwem i pozorami stykamy się na co dzień. Już nas one nawet nie dziwią. Przykładem zła jest natomiast wypaczanie nauki przez ludzi typu doktor Mengele. Ale nauka kończy się również tam, gdzie kończy się możliwość swobodnego poszukiwania prawdy i gdzie nie ma pieniędzy na jego prowadzenie.

Pozory

Z prawdziwą nauką w sposób nierozerwalny wiąże się ryzyko przyjęcia mylnej hipotezy badawczej i dlatego tylko dyletanci, oszuści i producenci pozorowanych prac naukowych wiedzą, jaki powinien być rezultat końcowy prowadzonych badań. A prawda nie zrobiła tyle dobrego, ile złego zrobiły jej pozory. Dlatego mamy więcej wyników niż wartości i zbyt wiele prac badawczych po opublikowaniu zalega na bibliotecznych regałach. W dzisiejszych czasach wyniki badań to towar, a dobry towar nie leży bezużytecznie na półkach. Oczywiście nie wszystko da się kwantyfikować, czego najlepszym przykładem mogą być... inflacja tajnych ocen wniosków o granty, wyników prac naukowych i stopnie oraz tytuły.

Ujawnia się więc życiowo istotny problem: jak ustrzec się przed złudzeniami, jak nie ulec pozorom i jak prawdę wyrwać z kleszczy pozorów, bo ich lśniący blask tylko potęguje złudzenia. Miejmy jednak świadomość, że pozorowana działalność naukowa wynikać może nie tylko z braku kwalifikacji, ale i z materialnej nędzy.

Mądrość

Już starożytni Grecy mówili, że mądrości i wiedzy nie kupuje się na tym samym rynku. Mądrość to coś więcej niż wiedza empiryczna. *Nie wystarczy dużo wiedzieć, ażeby być mądrym* (Heraklit).

Sokrates zakładał, że w miarę rozwoju ludzkości wiedza i mądrość poprzez rozwój myśli będą spontanicznie, samorzutnie kształtować i porządkować doskonałość moralną. Okazuje się jednak, że ten wielki filozof nie przewidział jednak istnienia historycznego okresu, w którym codzienne życie nie będzie kształtowane przez moralność, poczucie dobra wspólnego, miłość bliźniego, ale przez zysk. Poza tym, nie opierając się na mądrości, każdej wiedzy można nadużyć – nawet tej, że kamień i pałka są ciałami twardymi. Historia nauki, a przez to i historia ludzkości, coraz bardziej przypomina nieustanny wyścig między postępem a katastrofą.

Ileż twórczych inwencji i talentu wymagają naukowe badania i odkrycia. Ale czyż nie jest to czasami talent, a nawet geniusz bez mądrości – bo bez wizji skutków tych odkryć? Dlatego też aktualne staje się pytanie T.S. Eliota: *Gdzie jest mądrość, którą tracimy w wiedzy*?

Wydaje się, że istnieje następujący logiczny ciąg korelacji: zdobywanie informacji – to jeszcze nie nauka, informacja – to nie jeszcze wiedza, wiedza – to jeszcze nie mądrość, mądrość – to jeszcze nie prawda, prawda – to jeszcze nie sztuka, a sztuka – to jeszcze nie piękno.

Byłem przekonany, że doskonałość jest szczytową wartością w hierarchii ludzkich osiągnięć. Okazuje się, że Einstein – ten genialny człowiek nauki – powiedział, że wiedza bez wyobraźni tworzyć może rzeczy co najwyżej doskonałe. Natomiast wyobraźnia bez nauki tworzyć może rzeczy piękne. Jednakże tu przypomina mi się natychmiast myśl z wiersza Norwida, że przecież istnieje: *mądrość – kłamstwa, kłamstwo – wiedzy, formalizm – prawdy, wewnętrzna bez-istotność*.

Przed laty byłem niezwykle poruszony, czytając sentencję Seneki: *Postquam docti prodierunt, boni desunt* (Po przybyciu uczonych zabrakło szlachetnych). Zaskoczony byłem tak surową oceną swego własnego środowiska przez wybitnego rzymskiego intelektualistę. Podziwiam jednak jego odwagę. Rozważyłem wiele możliwych przyczyn tak negatywnej oceny. Za najbardziej prawdopodobne uznałem, że ci rzymscy *docti* (uczeni) zapewne stosowali zasadę: „Ja wcale nie chcę być lepszy od ciebie, ale zrobię wszystko, abyś był gorszy ode mnie". Zasada ta nie jest więc naszym rodzimym wynalazkiem. Przyjąć jednak możemy, że nauka i sztuka najsilniej są ze sobą zespolone w medycynie, a zwłaszcza w chirurgii. Tworzą one wartości piękna, jakim jest życie i zdrowie człowieka.

Technologia

Nie ma postępu w medycynie bez nauki. W nauce natomiast coraz większą rolę odgrywa zależna od kapitału technologia. Tak więc w sposób oczywisty, choć pośredni, oraz w sposób istotny, choć ukryty, istnieje wpływ kapitału na alokację zasobów w nauce i ochronie zdrowia. Kapitał natomiast rządzi się odmiennymi zasadami niż to nakazuje lekarzowi deontologia. Jednak jakże skuteczną czyni współczesną medycynę technologia. Toteż przyszłość medycyny uwarunkowana jest zarówno rozwojem technologii, jak i umiejętnością jej wykorzystania. To technologia pozwala np. na wykrycie bezobjawowo przebiegających chorób – nawet bez udziału lekarskiej myśli. Toteż termin *incidentaloma* wszedł już na stałe nie tylko do słownika lekarskiego, ale i do toku diagnostyki klinicznej.

Bardzo dużo dyskutuje się na temat negatywnego wpływu technologii na humanistyczne aspekty medycyny. Technologia niewątpliwie oddala lekarza od chorego. Jednak, pomimo olbrzymiej poprawy, jaka się u nas dokonała w tej dziedzinie, tego typu narzekania w Polsce przypominają mi anegdotę, jak to syty ostrzega głodnego przed szkodliwością obżarstwa.

Prace badawcze

Prowadzone u nas prace badawcze w zakresie medycyny można sklasyfikować w trzy grupy: prace twórcze, prace odtwórcze i prace zasypujące cywilizacyjną przepaść. Wartość oryginalnych prac twórczych jest bezdyskusyjna. Natomiast naukowe „wariacje na temat", a nawet prace odtwórcze nie są pozbawione w naszych warunkach wartości, bowiem szkolą umysły i odrzucają rutynę, uczą twórczego myślenia i pozwalają zasypywać myślową przepaść. Rutyna wiąże się z unieruchomieniem procesów myślowych, a przez to niezdolnością zarówno do tworzenia, jak i dostrzegania postępu.

Medycynę kliniczną zalicza się do nauk stosowanych, a doświadczenie życiowe uczy, że nie ma nic bardziej praktycznego niż... dobra teoria. Gdy pracownię Michaela Faradaya, zajmującego się problemem indukcji elektromagnetycznej, wizytował ówczesny premier Wielkiej Brytanii, po przeprowadzonym doświadczeniu zapytał uczonego: „Co będziemy mieli z tego, że sfinansujemy te badania?". „Jeśli badania te sfinansujecie, już wkrótce będziecie mogli wyniki mojej teorii bardzo wysoko opodatkować" – brzmiała odpowiedź. Chodziło o opracowanie podstaw działania elektrowni.

Radykalnie zmienia się sposób tworzenia wiedzy. Powstaje ona coraz częściej nie na uniwersytetach, lecz w przedsiębiorstwach produkujących „towary naukowe" o najwyższym standardzie. Uczelnie tracą więc przodującą rolę w badaniach naukowych również między innymi dlatego, że rządy mają ograniczone możliwości sponsorowania nauki. Natomiast rola uczelni medycznych i klinicznych ośrodków naukowych niewspółmiernie wzrasta przy badaniach klinicznych, bowiem każdy przypadek choroby stanowi odrębne wyzwanie intelektualne.

O ile eksplozja naukowych perspektyw wzbudziła zainteresowanie układów komercyjnych, o tyle finansowe profity – pieniądze – pobudziły aspiracje badawcze pracowników nauki. Od wieków pieniądze są znamiennie silnym i skutecznym bodźcem zwiększającym ludzkie chęci, siłę woli, inwencję i zapał. Sprawdza się więc tu moja myśl, że motorem postępu jest myśl o pieniądzach.

Ta współzależność nauki i pieniędzy wiąże się jednak z niebezpieczeństwem, że to *pieniądz stanie się podstawowym kryterium naukowej prawdy*

(Maciej Grabski), bowiem głównym kryterium wartości prac badawczych staje się już nie tylko stopień użyteczności dokonanych odkryć, lecz ich rynkowa wartość.

Wiedza i mądrość

Od zawsze nauka kojarzyła mi się z opartą na wiedzy mądrością, a nie tylko ze zdobywaniem wiedzy i kompetencji. Myślę, że uczelnia nie powinna być tylko miejscem, w którym produkuje się wiedzę, ale miejscem, gdzie rodzi się mądrość i gdzie tę mądrość się ceni i promuje. Wiedza bez mądrości rodzi pychę, która wraz z małą wiedzą stanowić może poważne zagrożenie. Mądrość jednak jest pochodną wiedzy. Dlatego ludzie wykształceni funkcjonują zwykle jako mądrzy. Bywają czasami jednak mądrzy bez wykształcenia. Przeważają jednak „wykształciuchy" – wykształceni bez mądrości. To oni w obawie przed konkurencją sadzają mądrych ludzi w oślej ławce. Mądrość – to wiedzieć, czego się nie wie. Głupcy są natomiast przekonani, że już wszystko wiedzą. Najstraszniejszy jest jednak *człowiek ciasnego umysłu, który ma tylko trochę racji* (Karol Irzykowski).

Bez mądrości nie można mówić o sensownym życiu człowieka. Reasumując, można powiedzieć, że celem nauki jest otwieranie drzwi do mądrości. W dobie niezwykłego tempa rozwoju technologii i jej wpływu na nasze życie wracać należy do myślicieli, *nauka bowiem (bez mądrości) wie, czym jest, ale zbyt często nie wie, czym być powinna* (cytat z pamięci).

Programy nauczania w szkołach podstawowych, średnich, a nawet wielu akademickich przekazują wiedzę w celu jej praktycznego zastosowania, a przecież sama wiedza nie wystarczy do podejmowania racjonalnych, twórczych i nowatorskich decyzji. To mądrość warunkuje umiejętność odróżniania dobra od zła, prawdy od kłamstwa oraz ustalania hierarchii i potrzeb ważności spraw. Chodzi tu też o umiejętność wyróżniania spraw, którym warto jest poświęcić czas, a nawet i całe życie.

Nie ma zbiorowej mądrości złożonej z ignorancji jednostek. Mądrość zbiorowa złożona z mądrości jednostek wpływa na stan kultury, ducha i sumienia danej społeczności. Problem polega jednak na tym, że mądrego zawsze rozpoznać potrafi tylko recenzent mądry i sprawny moralnie, a ponadto uniezależniony od uwarunkowań narzucanych przez okoliczności i śro-

dowisko czy politykę. Trzeba być samemu mądrym, by rozpoznać mądrość innego człowieka. Głupiec nie jest w stanie tego dokonać, podobnie jak głuchy nie jest w stanie poznać piękna muzyki, a niewidomy piękna obrazu. Człowiek głupi nie wie, czego nie wie i czego nie rozumie, tak jak głuchy nie wie, czego nie słyszy, a niewidomy nie wie, czego nie widzi. Człowiek głupi najłatwiej porozumie się z głupim, uznając go za mądrego. Ponadto głupiec nie wie i nawet nie usiłuje zrozumieć, czym jest i na czym polega mądrość.

Współcześnie jakże często pozycję mądrych ludzi, dawniej zwanych mędrcami, których naukowa i życiowa mądrość oparta była na głębokiej wiedzy i doświadczeniu, zajęli eksperci jako osoby legitymujące się często tylko wskaźnikami naukometrycznymi. Zbyt często traktują oni siebie jako wyrocznie i za takich bywają uznawani. Takiej właściwości żaden rzeczywisty mędrzec ani autorytet sobie nie przyzna.

Parametryzacja i naukometria stanowią istotę współczesnych metod oceny wartości prac naukowych. Nie wystarczają i nie przesądzają one jednak o uznaniu kogoś za autorytet, mędrca czy myśliciela. Wszelkiego rodzaju algorytmy są jednak bardzo wygodną, bo bezrefleksyjną, metodą „miareczkowania" intelektualnych możliwości i właściwości ocenianego. W odniesieniu do wielu dziedzin i sytuacji charakteryzuje je zmienna precyzja. I tak są one mało precyzyjne w ocenie osiągnięć z zakresu medycyny klinicznej oraz nowo rozwijających się i wąskich specjalności lekarskich. Czas biologicznego, a właściwie naukowego półtrwania wielu nawet cennych naukowych odkryć bywa bardzo krótki. Oczywiście istnieją też prawdy naukowe wieczne, odporne na działanie czasu. Tylko prace bezwartościowe są z reguły trwale bezwartościowe.

Za przykład krytycznego spojrzenia na wartość naukometrycznych metod oceny nauki i wiedzy w okresie, kiedy metody te jeszcze nie były ani wypracowane, ani znane, można uznać wypowiedź słynnego filozofa niemieckiego Schopenhauera, który osoby zajmujące się filozofią podzielił na dwie kategorie: filozofów i profesorów od filozofii (podaję z pamięci). Z kolei Sokrates, który nie opublikował żadnej ze swoich mądrości, przez współczesne metody naukometryczne oceniony byłby jednoznacznie negatywnie. Oczywistością jest, że przykłady te nie mają wartości dowodu.

W procesie uznania kogoś za mędrca czy autorytet bardzo pouczający jest przekaz łacińskiej maksymy *sapientia vanitatem exuit mentibus* – co w wolnym tłumaczeniu oznacza, że tylko prawdziwy mędrzec potrafi do-

strzec myśl w marności. Toteż prawdziwy mędrzec cudzej myśli nigdy nie określi mianem głupiej. Mówi się nawet, że nie ma tak głupiego człowieka, od którego największy mędrzec nie mógłby się jeszcze czegoś nauczyć.

Autorytet pracownika naukowego bywa czasami uzasadniany jakością i liczbą posiadanych tytułów i odznaczeń oraz zajmowanych stanowisk, choć nie zawsze są one zasłużone. Często pada bowiem uzasadnione pytanie: Zasłużył czy załatwił? Tak więc z dużą rozwagą należy uznawać je za argument w potwierdzaniu mądrości ocenianego. *Tytuł naukowy może tylko maskować przeciętność* (prof. Piotr Sztompka).

Niestety, mądrość nie chroni nas ani przed błądzeniem, ani przed cierpieniem. Znamiennie zmniejsza jednak prawdopodobieństwo ich wystąpienia. Wyróżnić tu jednak trzeba „mądrość błądzenia". Znany i ceniony historyk sir Robert Hutchinson cytuje tekst modlitwy starego lekarza: *Od (...) pogardy dla tego, co stare, od przekładania wiedzy ponad mądrość, nauki przed sztuką (...) chroń nas, Panie Boże*. Godną zastanowienia rzeczą jest, że w starożytnej Grecji boginią mądrości była Atena, a Minerwa w Rzymie, więc mądrość (*sophia*) przedstawiana była zwykle w postaci kobiety, a nie naprzemiennie z mężczyzną.

Podzieliłem się moimi przemyśleniami związanymi z zaszczytem bycia rektorem polskiej uczelni tak, jak to zrobiłem po wyborze na członka korespondenta Polskiej Akademii Umiejętności. Rozumiem bowiem, że wiedza wraz z opartą na niej mądrością jest szczytową ideą PAU i uczelni, a naczelnym zadaniem instytucji naukowych jest kształcenie elity intelektualnej kraju.

Gdyby Hipokrates współcześnie zdawał na medycynę, to z pewnością egzaminu wstępnego by nie zdał. Nie zdałby również u mnie egzaminu z chirurgii. Jeśli jednak uważa się go za ojca i patrona medycyny, to tylko dlatego, że pozostawił ogrom myśli stale aktualnych przez tysiące lat. Właśnie myśli. To one zapewniły mu wieczną pamięć u wszystkich następnych pokoleń. Nabywanie umiejętności klinicznego myślenia to dożywotni proces.

Cały ten wywód podsumuję krótką refleksją, że być może moja wiedza o życiu, świecie i nauce jest większa od wiedzy Hipokratesa, Archimedesa i Pitagorasa, jednak wcale to nie oznacza, że jestem od nich mądrzejszy – zgodnie ze wspomnianym powyżej stwierdzeniem Heraklita z Efezu, że *nie wystarczy dużo wiedzieć, ażeby być mądrym*.

Mądrość a postęp

Znamiennie duży wpływ technologii na wiedzę, naukę oraz standard ludzkiego życia jest oczywistością, jednakże głębokiej refleksji wymaga kolejne z wielu ujawniających się pytań, czy mądrość, a więc i moralność, wywierają wystarczający wpływ na zakres i kierunki rozwoju nauki i technologii? Już samo tylko to pytanie jest wyrazem niepokoju związanego z możliwością braku sensu w niczym nieograniczonym postępie technologicznym.

Mądrość z pewnością bardzo precyzyjnie dostrzegałaby nie tylko korzyści z postępu, ale i zagrożenia wynikające z jego niekontrolowanej proporcji i skali. Zagrożeniom potrafiłaby postawić znak „Wstęp wzbroniony", by uniknąć konieczności postawienia w przyszłości znaku „Wyjścia nie ma".

Nauczanie

Wielka jest mnogość celów uniwersyteckiego kształcenia lekarzy. W sposób najbardziej skrótowy cele te można zdefiniować następująco: przekazywać wiedzę, nauczyć myśleć, wpoić konieczność ustawicznego dokształcania, wykrywać talenty i promować ich rozwój, pomóc w ukształtowaniu zasad moralnych, kształcić wysoko kwalifikowaną kadrę specjalistów na potrzeby kraju. Ponadto szkoły typu uniwersyteckiego powinny otworzyć studentowi horyzonty światowej myśli oraz stworzyć warunki do społecznej aktywności. Absolwenci uczelni typu uniwersyteckiego powinni tworzyć umysłową elitę kraju.

Zadania uczelni

Rozważając problem organizacji nauki i szkolnictwa, nasuwa się pytanie: czy instytucje naukowe powinny zajmować się dydaktyką medyczną i czy szkoły medyczne powinny prowadzić badania naukowe? Optymalna jest sytuacja, w której nauka i działalność dydaktyczna są ze sobą ściśle powiązane, bowiem działalność edukacyjna przyciąga i wiąże młodzież z pracą naukową, ukazując jej piękno i szansę życiowej samorealizacji. Ponadto nauka powiązana z edukacją najszybciej dociera do życia młodzieży, wprowadzając nowości do praktyki.

Umiejętność naukowego myślenia w znamienny sposób ułatwia zrozumienie procesów patofizjologicznych w medycynie klinicznej. Bez tej umiejętności rozwiązywanie problemów klinicznych nie byłoby oparte na osiągnięciach wypływających ze znajomości nauk podstawowych, a *nie ma nic bardziej praktycznego niż dobra teoria*. W wielu zagranicznych ośrodkach klinicznych pracownicy naukowi muszą zaliczyć co najmniej roczny okres pracy w ramach *scientific research*.

Jeśli przyjmujemy, że zadaniem szkół wyższych typu uniwersyteckiego jest przekazywanie wiedzy i nauczenie myślenia, to oczywistością staje się, że szkoły, które nie prowadzą działalności naukowo-badawczej, nie mają nawyku i umiejętności twórczego myślenia, a rutynowo stosowane jest tam myślenie odtwórcze. Dlatego szkoły wyższe, które prowadzą działalność dydaktyczną bez badań naukowych, tracą przymioty ośrodka uniwersyteckiego, tj. możliwość wykształcenia twórczego myślenia.

Współcześnie wobec powszechnego procesu edukacji nasze nauczanie obarczone jest wieloma znamionami produkcji taśmowej ze wszystkimi tego wadami. Proces nauczania w nadmiernym stopniu oparto na pamięci ucznia, a nie na jego kreatywnym myśleniu inicjującym i rozwijającym twórczą innowacyjność i produktywność.

Proszę zwrócić uwagę, że zwłaszcza nauczanie uniwersyteckie nie może polegać tylko na przekazywaniu już odkrytej i zdobytej wiedzy, lecz również na nauce twórczego samodzielnego myślenia, na poszukiwaniu i sterowaniu procesami myślowymi prowadzącymi do odkrycia nowych prawd naukowych. To jest główne zadanie całego wyższego szkolnictwa polskiego, a zwłaszcza uniwersyteckiego.

Musimy też być świadomi, że szkolenie w trybie myślenia odtwórczego doprowadza często do maskowanej myślowej bierności. Jeśli myślenie będzie odtwórcze, to prowadzone prace nie będą w pełni oryginalne, lecz będą miały charakter wariacji na odkryty już temat.

W krajach Zachodu, będących potęgą naukową, uniwersytet traktowany jest jako miejsce, w którym rodzi się i pracuje elita intelektualna kraju, a nie jako miejsce, w którym prowadzone jest tylko szkolenie zawodowe. To od metody nauczania twórczego zależą w przyszłości szanse zdobywania prestiżowych nagród za osiągnięcia naukowe, takich jak Nagroda Nobla.

Metody nauczania determinują, czy w przyszłości będziemy eksportować owoce polskiej przedsiębiorczości i myśli technicznej, czy tylko części zamienne do samochodów projektowanych i produkowanych za granicą.

W naszej historii przeżywaliśmy piękne okresy, w których elity kraju były krzewicielami, nośnikami, strażnikami prawdy, moralności, sumienia i zwykłej przyzwoitości. Współcześnie coraz częściej mądrość ich członków albo błąka się w ogromie wiedzy i postępu, albo *porzucona zostaje przez nurt rzeki życia tam, gdzie jest największe tej rzeki koryto*.

Szkolenie zawodowe

Uwzględniając potrzeby społeczne i ekonomiczne naszego czasu, studia medyczne wymagają upraktycznienia i dlatego muszą przyjąć również charakter studiów zawodowych. Student powinien nauczyć się zawodu, a raczej być przygotowany teoretycznie i praktycznie na uniwersyteckim poziomie

do nauczenia się zawodu i uzyskania specjalizacji w okresie podyplomowym. W umyśle zarówno studenta, jak i lekarza wszelkie procedury zawodowe muszą być jednak zrozumiałe w oparciu o ich naukowe uzasadnienie.

Studia medyczne muszą więc harmonijnie realizować powyższe zadania. Edukacja uniwersytecka to nie jest tylko poznawanie faktów, lecz też umiejętność oceny ich wartości i właściwego doboru systemu wartościowania. W życiowej perspektywie uniwersytecka edukacja medycyny powinna wykształcić umiejętność zarówno odkrywczego myślenia, jak i wykorzystania oraz wdrażania bieżących naukowych osiągnięć do praktyki klinicznej. Problem ten z dużą precyzją wyraża łacińska dewiza London School of Economics: *Rerum cognoscere causas* – poznawać i rozumieć przyczyny zjawisk. Koncepcja myślenia odtwórczego w dużej mierze stosowana jest raczej w programach szkół ponadpodstawowych.

Uczelnia medyczna ma także obowiązek kształtować poczucie związku i wspólnoty studenta, przyszłego lekarza, z całym środowiskiem lekarskim, by potem – również dla dobra chorego – razem walczyć o godność zawodu i warunki pracy.

Wyrażam przekonanie, że naczelnym zadaniem każdej uczelni, a więc i medycznej typu uniwersyteckiego, jest nauczyć swoich studentów myśleć i rozumieć, a nie tylko pamiętać, oraz szukać odpowiedzi na nasuwające się pytania.

Jeśli student zdobędzie chęć i umiejętność myślenia, to konieczność zdobywania wiedzy, ustawicznego kształcenia i zajęcia właściwej postawy moralnej będzie logicznym następstwem, oczywistą dla niego koniecznością i nakazem podejmowanym jako swój codzienny, zawodowy obowiązek. Myślenie to winno być twórcze, kreatywne, a nie tylko odtwórcze. Należy więc przejść od szkoły uczącej do szkoły kształcącej. Medycyny nie wolno uczyć się na własnych błędach. Dlatego potrzebny jest rozległy i głęboki zasób wiedzy medycznej.

✻ Sapere aude – ośmiel się być mądrym

Nauczyciel musi uczyć, a student musi się nauczyć być myślowo suwerenny w odniesieniu do każdego aspektu życia. Musi być odważny zarówno w wysuwaniu własnych koncepcji, jak i swoich wątpliwości. Z pewnością wiele pomysłów studentów i lekarzy nie ujrzało światła dziennego, ponieważ ich autorzy z obawy przed poniżającą krytyką i wyśmianiem, nie mając wiary w siebie i w wartość własnych myśli, nie chcieli lub wprost wstydzili się publicznie je przedstawić. Wszyscy studenci powinni umieć i chcieć dostosować się do sentencji Horacego *sapere aude* – ośmiel się być mądrym. Miej też odwagę posługiwać się własnym rozumem i mądrością, mimo że w tradycji i obyczajowości szkolnictwa polskiego wartość uczniowskiej myśli nie była należycie ani rozumiana, ani pielęgnowana. Taka obyczajowość tworzy zagrożenie, że odwaga prezentacji własnych myśli zostanie zastąpiona przez kompleksy. Rozwinie się wówczas bezpieczny, choć bezwartościowy nawyk potakiwania, zwłaszcza utytułowanym i zagranicznym dyskutantom i prelegentom.

Student przy pomocy nauczycieli powinien wykształcić zdolność do postrzegania rzeczy i faktów niezauważalnych dla innych. W medycynie klinicznej ma to niezwykłe znaczenie, bowiem to właśnie „subkliniczne objawy" pozwalały dawnym lekarzom na rozpoznawanie rzadko występujących chorób. Te bardzo subtelne objawy mają niekiedy bardzo dużą siłę diagnostyczną.

Autorytet nauczyciela nie wynika z formalnych tytułów, lecz z naukowych i lekarskich osiągnięć. Studenci potrzebują i chcą lekarskich oraz naukowych autorytetów jako gotowych, lecz nienarzuconych wzorców do naśladowania. Chcą nauczycieli, którzy zdobyli swą pozycję nie na zasadzie pseudonaukowego cwaniactwa, a merytorycznych wpływów, swym wysiłkiem woli, myśli i działania zgodnego z zasadami etyki pracownika naukowego i lekarza.

Autorytety są nam wszystkim bardzo potrzebne, ale nie jako wyrocznie. Nie jako ci, którzy wyrokują i zmuszają do przyjęcia swych twierdzeń jako prawdy objawionej, ale jako ci, którzy myślą i do myślenia zmuszają. Autorytety odgrywają bardzo ważną rolę w dydaktyce dzięki umiejętności wyjaśniania i dowodzenia naukowych stwierdzeń.

Często myli się pojęcia autorytetu i idola – choć autorytet może stać się również idolem. Autorytet ze swoimi myślami i stwierdzeniami bazuje na prawdzie, idol – na wizerunku i popularności. Walczy o fanów. Dla ukrycia prawdy może też użyć przeróżnych sztuczek, np. makijażu. Autorytet może głosić poglądy niepopularne. Idol – walczy o popularność.

Jak odróżnić autorytet narzucony od rzeczywistego? Autorytet prawdziwy zawsze posługuje się tylko prawdą, a nigdy kłamstwem, inwektywami i oszczerstwami.

Tytuł naukowy nie chroni przed byciem tandetnym autorytetem, bowiem w oparciu o pozorowane osiągnięcia wyrastały pozorowane autorytety zarówno naukowe, obywatelskie, jak i moralne.

Lekarz jako nauczyciel akademicki

Zadanie lekarza jako nauczyciela akademickiego jest tym trudniejsze, że nie ogranicza się tylko do procesu przekazywania wiedzy, lecz do dania osobistego, dobrego przykładu do naśladowania w łączności z chorym. Przykładu opartego na gotowości niesienia pomocy i bycia zwiastunem otuchy i nadziei, nawet w trudnych i nieodwracalnych sytuacjach klinicznych.

Zarówno lekarz, jak i nauczyciel, a zwłaszcza lekarz-nauczyciel, to nie tylko zawód, ale i powołanie. Obowiązki tych osób wykraczają daleko poza ustalone przepisami zadania. Muszą też wypełniać *obowiązki, które są bez zobowiązania* (Adam Mickiewicz). Lekarzowi-nauczycielowi akademickiemu nie da się określić pensum za życzliwość, cierpliwość, wyrozumiałość, wrażliwość na los człowieka i chęć przekazania nie tylko naukowej wiedzy, ale i stosunku do chorego. Student ma zrozumieć, że będzie musiał leczyć chorego, a nie tylko chorobę. A, jak wiadomo, tam, gdzie nie ma chęci i woli, tam przepis i nakaz nie są skuteczne. Współcześnie promowane wartości powodują, że pacjent staje się tylko klientem. Dawny paternalizm, przechodząc przez fazę partnerstwa, doszedł do fazy formalizmu i klientelizmu.

Nie ma jednak wychowywania uczniów bez wychowywania wychowawców. Profesorowie i nauczyciele akademiccy również dziedziczą i nabywają wady z czasem. Trzeba chcieć z nimi walczyć, a jest to niewyobrażalnie trudne zadanie. Współcześnie zauważalny jest spadek odpowiedzialności

dydaktycznej ze strony kadry nauczającej. Widoczny jest też spadek dydaktycznych ambicji i zanik etosu pracy dydaktycznej.

W pełni należy zgodzić się ze stwierdzeniem Johna Macleoda, że nauczyciel winien nie tylko przekazywać wiedzę, ale również uczyć sposobu jej zdobywania oraz wykorzystywania. Jednakże wśród przekazywanych wartości naczelne miejsce powinna zawsze zajmować zarówno prawda naukowa, jak i życiowa.

Do dalszych zadań nauczyciela akademickiego należy rozwijanie twórczych postaw i talentów swych uczniów oraz wprowadzenie ich w świat kontaktów krajowych i zagranicznych poprzez organizowanie udziału studenckich kół naukowych w konferencjach i zjazdach. Nauczyciel akademicki musi też wyzwalać i ukierunkowywać studencką ambicję i energię. Najbardziej opłacalne jest inwestowanie w szare komórki, zwłaszcza utalentowanych studentów.

Działalność lekarza praktyka w dużym stopniu jest determinowana nie tylko przez wiedzę, etykę, ekonomię i obowiązujące prawo, ale również – jak w każdym innym zawodzie – przez różnorodne wzorce zachowań nauczycieli, przełożonych oraz szeroko rozumianej władzy. To oni swoim postępowaniem uczą, jak realizować nie tylko obowiązujące zasady etyki, uczciwości, prawa i zwykłej przyzwoitości, ale i jak je omijać. Młodzież jest bardzo spostrzegawcza.

Najdoskonalszym sposobem zachęcania i wciągania młodzieży akademickiej do nauki i praktyki lekarskiej jest prowadzenie prac naukowych, zwłaszcza zespołowych, z udziałem najmłodszych pracowników naukowo-dydaktycznych i studentów. Wielkim darem losu jest posiadanie w młodości mistrzów, którzy *uczą miary rzeczy i patrzenia poza powierzchnie zjawisk codziennych*. Na każdego, a zwłaszcza uzdolnionego studenta, trzeba spojrzeć jak na potencjalnego pracownika naukowego.

Salus aegroti

Student musi być świadomy swojej przyszłej odpowiedzialności nie tylko wobec leczonego przez siebie chorego, lecz także wobec lokalnej społeczności i całego społeczeństwa. Wiąże się to bezpośrednio z problemem „etyka a ekonomia" w ochronie zdrowia. Współczesność wymaga realizowania

nie tylko zasady *Salus aegroti suprema lex*, ale równocześnie *Salus populi suprema lex*. Niestety, realizacja tych zasad bardzo często prowadzi do konfliktu interesów jednostki i społeczności oraz nierozwiązywalnego problemu deontologicznego dla lekarza. Obowiązuje go bowiem zasada, że *tylko to, co najlepsze, jest wystarczająco dobre dla mojego chorego*, czego oczekuje i wymaga każdy pacjent.

Znamiennie duża jest różnorodność sytuacji i gradacja zagadnień, w których problem ten ujawnia się, a które lekarz będzie musiał rozwiązać. Tak więc każdy przypadek choroby stanowi wyzwanie intelektualne, a nierzadko także etyczno-moralne.

Założenia dydaktyczne

Proces dydaktyczny w uczelniach medycznych musi przekonać wszystkich studentów, a zwłaszcza tych, którzy zajmą się w przyszłości medycyną kliniczną, że nie jest ona rzemiosłem, lecz nauką i także sztuką. Od lat powtarzam, że jeden wyleczony pacjent ma wartość odkrycia naukowego, pod warunkiem, że proces diagnostyczno-terapeutyczny wymagał intensywnego myślowego wysiłku, a nie rutynowego postępowania.

Poza zrozumieniem i przyswojeniem zasad diagnostyki i terapii studenci powinni wyrobić w sobie nawyk poszukiwania nowych klinicznych problemów, które ujawniają się z chwilą rozwiązania poprzednich. Jest to niezbędny warunek postępu i udoskonalania znanych już i stosowanych metod lekarskiego postępowania. Proces myślenia musi być nieustanny, również po uzyskaniu sukcesu etapowego. W nauczaniu medycyny klinicznej przy łóżku chorego konieczna staje się umiejętność patogenetycznego rozumowania w oparciu o nauki podstawowe.

Współcześnie zaciera się różnica między działalnością lekarską a naukową. Studenci podczas zajęć klinicznych powinni dostrzec, że praca lekarza nie jest pracą rutynową, chociażby ze względu na znaczące różnice biologiczne między ludźmi, sprawiające, że każdy chory jest inny. Dlatego praca ta musi być traktowana jako „twórczość". Każdy lekarz powinien stać się „badaczem" praw obowiązujących w medycynie klinicznej.

Odnośnie do programów dydaktycznych wyrażam przekonanie, że należy wsłuchiwać się w oczekiwania i żądania studentów oraz je analizować.

Jednakże programy muszą zapewnić nauczanie tego, czego student bezwzględnie potrzebuje.

Universitas magistrorum et scholarium

Powstaje pytanie, na jakich zasadach powinna funkcjonować szkoła medyczna typu uniwersyteckiego? Obejmująca wszystkie szkoły średniowieczna zasada *universitas magistrorum et scholarium*, a więc wspólnota nauczających i uczących się, nie straciła nic ze swej aktualności w odniesieniu do nauk klinicznych. Bezpośredni, osobisty kontakt studenta z chorym i lekarzem leczącym jest najlepszą i niezastąpioną metodą dydaktyczną. W niektórych szpitalach klinicznych na Zachodzie prowadzone są zajęcia na „żywych fantomach", tj. zdrowych osobach nauczonych symulować określoną chorobę. Interpretacji szmerów serca, płuc i perystaltyki jelit studenci uczą się czasem z nagrań. Wynika to częściowo z braku zgody pacjentów na badania przez studentów oraz rzadkości występowania niektórych chorób. Ten sposób uczy wprawdzie technologii diagnozowania, ale nie nauczy umiejętności nawiązywania naturalnego kontaktu z rzeczywistym chorym. A właściwy, choć każdorazowo odmienny układ lekarz–chory, jest jednym z najbardziej istotnych zadań medycyny klinicznej.

Universitas – institutio semper reformanda

Ponieważ szkoły wyższe są, lub powinny być inicjatorami i nośnikami postępu w nauce i kulturze, koncepcja ich struktury i funkcji winna wyprzedzać obecnie obowiązujące i powszechnie przyjęte pojęcia, a także zasady organizacji nauki i nauczania. Z tego powodu od dawien dawna aktualna jest zasada *universitas – institutio semper reformanda* (uniwersytet – instytucja stale reformująca się). Organizacja, jak i metody dydaktyki klinicznej muszą się zmieniać, by podążyć za postępem naukowym i technologicznym. Należy jednak pamiętać, że tzw. stare metody diagnostyczne są nadal stosowane w klinice w ramach

wstępnego badania chorych i ukierunkowują dalsze postępowanie lekarskie. Dlatego student z założenia musi opanować zasady dokładnego badania fizykalnego chorego.

Szkoła powinna podlegać reformom ewolucyjnym. Kto powinien opracowywać zasady zamierzonych reform? Reformy oddolne nie odzwierciedlają zwykle kompleksowego i konsekwentnego spojrzenia na potrzeby nauki i szkoły. Ich autorzy reprezentują bowiem co najwyżej interesy grupowe, a nie całościowe potrzeby naukowe i dydaktyczne. Opracowania dają zbyt duże zabezpieczenia przeciętnym i słabym pracownikom naukowym, co odbywa się kosztem jakości nauki i dydaktyki. Natomiast reformy opracowywane „odgórnie" na ogół lepiej reprezentują interesy i poglądy partii politycznych i polityków, niż interesy szkoły i nauki. Dlatego nauka i organizacja nauki wymagają ponadpolitycznych rozwiązań.

Powinniśmy również chcieć zrozumieć, że same reformy strukturalno-organizacyjne w usprawnianiu pracy przedsiębiorstw i państwa bez naprawy moralnej społeczeństwa i władzy są nieskuteczne. Społeczeństwo obywatelskie to nie zrzeszenie konsumentów, lecz wspólnota obywatelskiej jedności traktującej państwo jak rodzinną spółdzielnię. Panować musi poczucie tej jedności i wspólnoty.

Im więcej medycyna o człowieku wie, tym więcej ujawnia się dylematów moralnych wiążących się z pytaniem, czy człowiek jest kimś, czy czymś, a więc czy jest autonomiczną jednostką, czy też nią nie jest. Medycyna kliniczna jako nauka jest dziedziną w pełni zglobalizowaną. Powszechnie ujednolicone zostały metody diagnostyki klinicznej i terapii. Jakże pożądana byłaby globalizacja moralności, a w tym sprawiedliwości, miłosierdzia i zwykłej przyzwoitości.

Etyka

Najnowsze osiągnięcia nauki i techniki stawiają ludzkość wobec moralnych wyborów. Również w medycynie każde lekarskie działanie pociąga za sobą konieczność moralnych rozstrzygnięć. Dlatego też na szkołę i nauczyciela spada obowiązek kształtowania studenckich sumień tak, aby finanse i patologiczne ambicje nie były wyłącznym motywem ich działań. Postępowania etycznego nikt nie nauczył się wyłącznie z wykładów i książek. Propagowana

obecnie woluntarystyczna koncepcja etyki z najczęściej egoistycznym *sacrum* jest zaprzeczaniem lekarskiego powołania.

Specyfiką naszej medycyny jest to, że ani finansowanie, ani organizacja ochrony zdrowia nie tylko nie uwzględniają dylematów lekarskiego sumienia, lecz stwarzają nowe zagrożenia. Życie natomiast uczy, że im mniej jest pieniędzy na ochronę zdrowia, tym więcej pojawia się nowych dylematów i pułapek moralnych, w które niekiedy lekarze wpadają.

Szkoła powinna kształcić jednostki i społeczność studencką w duchu moralnej odpowiedzialności wobec swego powołania, zawodu oraz chorego. Toteż znajomość jakiejkolwiek nowoczesnej procedury lekarskiej nie może stanowić bezwzględnego wskazania, lecz tylko możliwość jej wykonania.

Zadania szkoły – Biegański

Wśród naczelnych wartości, jakie ma przekazać szkoła swoim studentom, są prawda, wolność i godność chorego człowieka. Promowany u nas liberalizm nasuwa skojarzenie z brakiem odpowiedzialności. Postęp nauki i techniki sprawia, że naszym obowiązkiem jest utrzymanie sprawności naszego umysłu dla prawidłowej oceny moralnej skutków naukowego oraz lekarskiego działania.

Wielki polski lekarz praktyk, a zarazem jeden z najwybitniejszych polskich teoretyków medycyny, Władysław Biegański (1857–1917) w swym dziele *Myśli i aforyzmy* pisze: *Hipokrates w swych przykazaniach porównywał słuszne nauczanie do siewu. Kto sieje ziarna nieczyste z kąkolem, ten niech się nie dziwi, że kąkol ruń zbożową zagłusza. Chwastów bujniej siać nie trzeba... Pod siew etyczny gleba powinna być mocno wzruszona, ziarno powinno zapadać głęboko.*

Czas trwania studiów jest zbyt krótki w stosunku do zadań i obowiązków, jakie spadają na lekarza bezpośrednio po dyplomie. Stąd konieczność utrzymania ciągłości procesu dydaktycznego rozpoczętego podczas studiów akademickich.

Postęp

Znaczenie słowa „postęp" jest związane z pojęciem wartości i oznacza proces stałego doskonalenia. Problem polega jednak na właściwym doborze systemu wartościowania. Postęp dokonuje się zarówno na drodze zdobywania wiedzy, jak i na drodze obalania błędnych poglądów i przyznawania się do nich. Pamiętać należy, że „czas naukowego półtrwania" wielu prawd klinicznych jest bardzo krótki, czasami zaledwie kilka lat.

Największy postęp w medycynie dokonuje się na granicy dyscyplin podstawowych i klinicznych. O ile wysoka specjalizacja w medycynie w sposób znaczący przyczyniła się do szybkiego postępu i rozkwitu nauki oraz medycyny klinicznej, unikając dominacji wszechstronnych dyletantów, to jednak nie udało się jej uchronić przed nadmierną fragmentaryzacją. Ujawnił się więc dydaktyczny problem: czy nauczyciel akademicki powinien przekazywać wiedzę „wszystko o czymś" czy „coś o wszystkim"? Dla studenta medycyny ważniejszy jest holistyczny przekaz o chorym człowieku, pozostawiający wysokospecjalistyczne problemy na okres studiów podyplomowych. Podobno Newton zadał pytanie: Czy widzieć las, czy poszczególne drzewa?. Studentowi nie może grozić w ramach procesu dydaktycznego pokazywanie tylko kilku drzew.

Problem-based learning

Na jednym z posiedzeń uczelnianego senatu omawiano problem dydaktyczny. Uświadomiłem sobie, że mamy dwa wydziały z praktycznie jednym programem nauczania, a materiał do nauczania jest niemal nieograniczony. Wzbudziło to moje zainteresowanie metodą zwaną *problem-based learning*.

Natychmiast podzieliłem się tą myślą z członkami senatu. Problem jednak nie wzbudził zainteresowania. Kilka głosów z pełną obojętnością dla sprawy stwierdziło, że od lat nasze własne programy sprawdzają się jako bardzo dobre i że nie ma co sobie zawracać głowy jakimiś nowymi. Myśli jednak nie porzuciłem. Po długich staraniach udało mi się uzyskać stypendium Fundacji Batorego i wraz z prof. Wojciechem Sawickim jako

przedstawicielem nauk podstawowych udaliśmy się do Uniwersytetu McMaster w Hamilton w Ontario w Kanadzie oraz do Uniwersytetu w Maastricht w Holandii. Podczas wielu dydaktycznych sesji jako obserwatorzy zapoznawaliśmy się z praktycznymi aspektami tego systemu.

Metoda *problem-based learning* nie koncentruje się na wyszukiwaniu w podręcznikach i piśmiennictwie rozwiązań rozważanego zagadnienia, ale na poszukiwaniu własnych alternatywnych koncepcji i rozwiązań w oparciu o fizjopatogenezę. Studenci rozpoczynają od zbiorowego przedyskutowania w grupie uwarunkowań patofizjologii omawianej choroby i na tej podstawie konstruują jej własny całościowy plan leczenia. Metoda rozwija więc szerokie umiejętności uzyskiwania wiedzy poprzez zaawansowaną współpracę w grupie, uczy również samodzielności w definiowaniu problemu i jego rozwiązywaniu. Studenci nie muszą uczyć się na pamięć tekstu z podręcznika i podanych tam metod terapeutycznych, lecz na podstawie patofizjologii i innych uwarunkowań opracowują własną metodę terapii, podlegającą korekcie z udziałem tutora, a następnie porównują wyniki z danymi w piśmiennictwie. Uwzględnione są również fakty empirycznie potwierdzone. Objawy kliniczne, wskazania do wykonania badań dodatkowych i metodę leczenia studenci w ramach dyskusji dedukowali sami. Istota dyskusji polegała nie na zabieraniu głosu, ale na jej merytorycznej wartości.

Najbardziej zaskoczony byłem wielkim zaangażowaniem tutorów i studentów w dyskusje i cały proces dydaktyczny, a to decyduje o sukcesie metody. Dyskusja stawała się elementem pobudzającym ciekawość głębi problemu. Błędy myślowe były z wyrozumiałością interpretowane. Wszyscy dyskutanci czuli się współautorami wniosku końcowego. Zdobywanie wiedzy było procesem ciekawym, twórczym i bardzo satysfakcjonującym, a co za tym idzie, przyjemnym. Taki proces prowadził do zdobywania zarówno wiedzy, jak i praktycznych umiejętności, a nie tylko wyrabiania sprawności zaliczania egzaminów.

Bardzo pozytywnie oceniałem metodę nauczania *problem-based learning*. Jednakże po powrocie do kraju zgodziłem się z grupą osób, które były przeciwne wprowadzeniu tej metody w naszej Akademii, ale wiedziałem już, dlaczego. Złożyło się na to wiele czynników. Pierwszym był brak czasu, bowiem za dwa lata kończyłem kadencję rektorską. Ponadto w strukturze dydaktyki polskiej nie było stanowiska odpowiadającego

pozycji tutora w omawianym systemie. Trzeba byłoby więc najpierw wykształcić tutorów, na których nie byłoby chętnych. Kolejnym problemem były finanse. Jest to metoda bardzo droga i myślę, że z tego powodu nie rozwinęła się szeroko na Zachodzie.

Verba docent, exempla trahunt

Przed wielu już laty, bo w 1951 r., podczas egzaminu z neurologii po jednym z pytań zaciąłem się i, szukając w mej pamięci odpowiedzi, pocierając czoło, powtarzałem: „Zaraz sobie przypomnę. Zaraz...". Na to ówczesna pani docent Irena Hausmanowa powiedziała: „Niech pan się nie męczy i nie przypomina sobie – niech pan raczej pomyśli" – i podała jakiś szczegół wyjaśniający pytanie, po którym rozwiązałem cały problem i w sumie dostałem bardzo dobrą ocenę. W tej krótkiej wypowiedzi egzaminatora zawarta jest niezwykła mądrość i istota uniwersyteckiego kształcenia, a nie tylko nauczania.

Po wielu latach w okresie mojej rektorskiej kadencji pani profesor Hausmanowa obchodziła wielki jubileusz swojej działalności. W uroczystości wzięło udział wielu delegatów ze Stanów Zjednoczonych i świata zachodniego. W swoim rektorskim przemówieniu wspomniałem o moim wydarzeniu egzaminacyjnym i reakcji pani profesor. Podczas przerwy i w późniejszych rozmowach niemal wszyscy Amerykanie, dwóch Anglików i jeden Polak mówili mi, że przykład jest wspaniały i prawidłowo definiuje zadania nauczyciela akademickiego. Byli wręcz zachwyceni tym przykładem.

Przypomniało mi się jeszcze następujące wydarzenie. Ilekroć zdawałem egzamin z fizyki, to zawsze kazano mi „wyklepać" brzmienie jakiegoś prawa, np. praw Newtona. Tylko na egzaminie z fizyki na pierwszym roku studiów prof. Władysław Kapuściński jako egzaminator polecił mi dać przykłady, kiedy drugie prawo Newtona staje się przyczyną nieszczęść. To pytanie zmuszało do myślenia, a nie wyklepania definicji. Równocześnie wykazywało, czy zdający rozumie treść cytowanej formuły.

Kolejnym przykładem pokazującym różnice w podejściu do nauczania była moja rozmowa z dwiema polskimi lekarkami, które studiowały medycynę w McMaster University (podejrzewam, że nie udało im się nostryfikować polskich dyplomów i dlatego studiowały medycynę w Kanadzie). Powiedziały, że uczą się medycyny od nowa, bo w Polsce uczono je zapamiętywać wie-

dzę, aby zdać egzamin testowy, a tutaj są uczone samodzielnego myślenia i znajdowania merytorycznego rozwiązania rozważanego problemu. Student nie jest bowiem pendrive'em do nagrywania tekstu i odtwarzania podczas egzaminu zapisanych informacji naukowych. On jest po to, by nauczyć go myślenia, zdobywania i wykorzystywania wiedzy.

Refleksja

Do naczelnych zadań nauczyciela akademickiego należy wzbudzenie ciekawości pracą naukową, a następnie pomoc w odkryciu nauki jako celu swojej życiowej pasji. Chodzi tu o podkreślenie wartości ciekawości jako motywu wejścia na drogę nauki. Newton powiedział kiedyś, że: *Ja wcale nie jestem tak nadzwyczajnie uzdolniony, jak mi się to przypisuje. Byłem natomiast całe życie niezwykle ciekawy, w tym również ciekawy tajemnic świata*.

Należy starać się ukazać studentowi, że w nauce łączy się piękno życia z pięknem prawdy, radość istnienia z radością tworzenia i ekscytacją wyjaśnianiem tajemnic natury i ich późniejszym wykorzystaniem. Procesy naukowe w swej istocie wyrażają protest przeciwko śmierci. Gdy student powyższe motywy dostrzeże i zaakceptuje, będzie miał uformowany sens swego życia.

Ocalić od zapomnienia

Człowiek na trudne czasy

Pamiętajmy, że to, czym jesteśmy, to, co mamy, czym będziemy, czym się szczycimy i co reprezentujemy, jest dziełem wielu poprzednich pokoleń, a w szczególności tych, którzy odegrali znaczącą rolę w życiu uczelni. Wielu z zasłużonych jest powszechnie znanych i trwale opisanych na kartach historii. Wielu jednak przykrytych zostało płaszczem zapomnienia lub przemilczenia w ramach tzw. gaszenia pamięci. Ja sam żałuję, że niektórych z nich nie przekazałem do powszechnej świadomości. Dlatego chciałbym tutaj uchylić ów płaszcz zapomnienia, przemilczenia w odniesieniu do wielce zasłużonej dla naszej uczelni osoby w okresie mojej prorektorskiej i rektorskiej kadencji: pułkownika dr. Tadeusza Fronczaka – lekarza, absolwenta naszej uczelni i komisarza wojskowego w latach stanu wojennego. To jego zasługą jest, że pomimo wielu poważnych zagrożeń zarówno uczelnia, jak i wszyscy jej pracownicy przeżyli stan wojenny stosunkowo łagodnie.

Ogłoszenie stanu wojennego zastało mnie jako pełniącego wyjątkowo trudną w owym czasie funkcję prorektora ds. kadrowych. Byłem przerażony wizją spraw moralnie i prawnie nierozwiązywalnych dla rektora, dla mnie i dla wszystkich. Szczegółowo czas ten opisałem w podrozdziale „Prorektorstwo", ale chciałbym tu tylko przypomnieć, że lista zasług pana płk. Fronczaka obejmowała m.in. uchronienie zagrożonych osób przed relegowaniem z uczelni oraz wybranego przez nas rektora z zespołem od odwołania. Pułkownik pomagał nam też w skutecznej komunikacji i załatwianiu wszelkich spraw z władzami państwowymi. Kontrolował sprawy akademickie, ale zwykle wyrażał zgodę na propozycje rektora. W przypadku przeróżnych napięć drogą perswazji umiał zapobiec burzliwym konfliktom. Jego decyzje były odważne, ale utrzymane w granicach rozsądku. Zarówno Akademia, rektor, ja i cała nasza akademicka społeczność w sumie akceptowaliśmy jego działalność, wdzięczni, że uchronił nas od prawnych, moralnych, personalnych i akademickich nieszczęść i dramatów. Jego zadaniem było utrzymanie spokoju, porządku i możliwości pracy i nauczania w tym wyjątkowo trudnym czasie, co było wielkim sukcesem. W pełni zasłużył na naszą, również jako instytucji, trwałą pamięć.

Pani mecenas

Podczas mojej rektorskiej kadencji wiele osób za uzyskane osiągnięcia i pracę na rzecz uczelni otrzymało liczne honorowe, wartościowe odznaczenia i nagrody oraz cieszyło się powszechnym szacunkiem i uznaniem. Niektórzy pozostali na długo w zbiorowej pamięci. Pragnę tu nawiązać do przedstawionej wcześniej osoby pani mecenas Danuty Lewandowskiej, która, będąc członkiem rektorskiej grupy roboczej i odzyskując tereny Pola Mokotowskiego, samodzielnie odniosła wielki sukces prawny, bo trwale determinujący i podnoszący wartość uczelni jako instytucji. Więcej szczegółów na temat pięcioletniej walki administracyjno-prawnej, jaką musiała przeprowadzić pani mecenas, przedstawione jest w rozdziale „Pole Mokotowskie". Niezwykle ważne jest, że dzięki niej odzyskaliśmy w całości teren przyznany nam przez władzę w 1953 r.

Po zakończeniu zwycięstwem wszystkich procesów sądowych pani mecenas Danuta Lewandowska została zaangażowana w Dziale Prawnym Akademii. Jednak podziw środowiska dla pani mecenas szybko zgasł, a sukces zapomniano. Pani mecenas stała się natomiast dla kanclerza i podległych mu pracowników administracji niewygodna. Usilnie zachęcano ją do przejścia na wcześniejszą emeryturę. I tak przenoszono ją na niższe stanowisko, potem przywracano, by ostatecznie pozostawić na niższym. Kilkakrotnie przenoszona była z miejsca urzędowania na mniej wygodne lokalizacje, by w końcu znaleźć się w kilkumetrowym pokoiku, w odrębnym małym budynku poza gmachem rektoratu, bez takich drobnostek koniecznych w pracy biurowej jak telefon czy drukarka. Dla udowodnienia rzekomej niewydolności pracy pani mecenas zorganizowano audyt zewnętrzny, który jednak stwierdził jej zdwojoną wydajność pracy. Wytrwałość i intensywność szykan sprawiła, że pani mecenas uległa i wyraziła w końcu świadomą, choć wymuszoną wolę przejścia na wcześniejszą emeryturę. Wyobrażam sobie, że tłum pracowników z kwiatami żegnał osobę, która w kluczowych momentach odegrała rolę decydującą, sprawiającą, że dziś stoją tu budyni rektoratu, biblioteki, klinik i licznych zakładów naukowych, a nie budynki „Centrum Handlu ze Wschodem".

Z chwilą zakończenia rektorskiej kadencji byłem wprawdzie członkiem senatu, ale nie zajmowałem się wygraną już sprawą Pola Mokotowskiego.

Urwał się też mój kontakt z panią mecenas. Po 20 latach, będąc od 17 lat na emeryturze, przypadkowo dotarła do mnie wiadomość, że została zwolniona z pracy na własną prośbę. Z nieformalnych, potocznych rozmów dowiedziałem się wielu szczegółów związanych z decyzją jej zwolnienia z pracy. Kilka z nich podałem powyżej. Wówczas, niestety z wieloletnim opóźnieniem, wystąpiłem do rektora prof. Mirosława Wielgosia i senatu z wnioskiem o przyznanie pani mecenas, dyrektorowi naszej uczelni panu inż. Jackowi Żbikowskiemu oraz dyrektorowi Zarządu Inwestycji panu Tadeuszowi Długoszowi brązowych medali „Za Zasługi dla Akademii Medycznej w Warszawie". Na posiedzeniu senatu przedstawiłem osiągnięcia i zasługi wymienionych osób w procesie odzyskiwania Pola Mokotowskiego. Honorowe odznaczenia zostały przyznane. Na tle opisanego wydarzenia dziś zdaję sobie sprawę, jak wielkie miałem szczęście, mogąc działać razem z tak uczciwymi i wspaniałymi ludźmi jako pracownikami administracji, a zwłaszcza tymi, z którymi ściśle współpracowałem.

Przegrana rywalizacja

Pamiętać musimy również o tych, których poświęcenie i wysiłek nie zakończyły się sukcesem. W latach 1981–1982 prof. Jerzy Kuch walczył o uzyskanie budynków wojskowych w rejonie ulicy Banacha, przejętych potem przez Uniwersytet Warszawski. Jak opisałem w rozdziale „Akademia i uniwersytet", profesor był inicjatorem i dynamicznym kierownikiem specjalnej komisji walczącej o przydział wojskowych budynków. Byłem jej członkiem. Pamiętam niezwykłe zaangażowanie i wielki wysiłek profesora Jerzego Kucha, jego trudne, męczące i nerwowe rozmowy z urzędowymi osobistościami. Sprawa była szczególnie ważna i stresująca, gdyż, jak opisałem wcześniej, planowane odebranie własności Pola Mokotowskiego oznaczałoby brak możliwości rozwoju Akademii i w związku z tym liczyliśmy na otrzymanie przynajmniej budynków wojskowych. Wszystkie te problemy wymagały niezwykłego wysiłku organizacyjnego ze strony profesora Kucha i jego komisji. Jednak ostatecznie budynki te przeznaczono dla Uniwersytetu Warszawskiego.

Tak więc działalność profesora Jerzego Kucha była dla Akademii niezwykle istotna i wartościowa, pomimo tego, że nie została uwieńczona sukcesem i pamięcią.

Sporadyczne wydarzenia

Przez 12 lat mej pracy na stanowisku prorektora oraz rektora miałem do czynienia z ośmioma ministrami zdrowia. Z jednymi pracowało się dobrze, z innymi bardzo dobrze. Niektórych trzeba było po prostu przeczekać.

W krótkim czasie po wyborze na rektora złożyłem kurtuazyjną wizytę wysokiemu urzędnikowi w ministerstwie, by się przedstawić i omówić czekające nas problemy do rozwiązania. Rozmowa była bardzo miła, rzeczowa i trochę się przedłużała. Przed pożegnaniem tenże urzędnik zwrócił się do mnie, mówiąc:

– Panie rektorze, jest taka młoda lekarka, córka wysokiego szczebla działacza państwowego, której trzeba zrobić miejsce w klinice (tu wymienia nazwę).

Odpowiedziałem:

– Proszę pana, teraz mamy demokrację i wszystkie sprawy, a zwłaszcza personalne, są pod społecznym nadzorem i kontrolą związków zawodowych, zwłaszcza że do tej kliniki stara się wielu kandydatów.

– To okropne. Przez tę waszą demokrację nic sobie nie można załatwić – odpowiedział.

Pewnego dnia pani Irena, sekretarka, wezwała mnie do telefonu, mówiąc, że dzwoni pan premier. Rozpocząłem rozmowę od:

– Dzień dobry, panie premierze.

– Niech pan poradzi, co ma zrobić młody człowiek, który koniecznie chce zostać lekarzem, a nie zdał egzaminu – powiedział premier.

– Panie premierze, w ustawie o szkolnictwie wyższym nie umieścił pan zwrotu o miejscach rektorskich. Współcześnie nie mam żadnych prawnych szans na ominięcie ustanowionych przez pana rygorów. Pozostaje jedyna rada: niech ten młody człowiek zawzięcie się uczy zwłaszcza biologii, chemii, fizyki i języka obcego. To w tej chwili jest jedyna szansa rozpoczęcia studiów.

W odpowiedzi usłyszałem:

– Czy to pana jedyna rada?

– Tak – odpowiedziałem i usłyszałem trzask odkładanej na telefon słuchawki, ale zdążyłem powiedzieć jeszcze „do widzenia".

Podczas rozmowy z inną wysoko postawioną osobistością usłyszałem pytanie:

– Panie rektorze. Jest taka dziewczyna, córka wybitnego działacza

państwowego, zajmującego wyższe niż moje stanowisko, której trzeba by dać etat w jednej z klinik.

Odpowiedziałem:

– Właśnie dziś na komisji kadrowej omawialiśmy sytuację tej kliniki, która nie wyrabia pensum i grozi jej cofnięcie jednego etatu. Poza tym do tej kliniki jest duża kolejka kandydatów, którzy pracują w niej czasami kilka lat jako wolontariusze.

– Jaka pana rada?

– Widzę jedno nadzwyczajne wyjście. Niech pan razem z ojcem kandydatki da pieniądze na unowocześnienie pracowni biochemicznej w tej klinice, co wiązać się będzie z dodaniem etatu, na który zostanie ona przyjęta.

W odpowiedzi usłyszałem:

– Co pan mówi?!

– Niech pan da pieniądze na pracownię – powtórzyłem.

Usłyszałem odpowiedź:

– Pieniądze to ja mogę panu zabrać!

Groźby tej jednak nie spełnił.

W czasie mojej rektorskiej kadencji ministrem zdrowia był mój nieco młodszy kolega, z którym w poprzednich latach robiliśmy badania doświadczalne. Spotykaliśmy się wiele razy. Któregoś dnia podczas obiadowej przerwy w trakcie spotkania ministra z rektorami spytałem go, czy mogę opowiedzieć złośliwy dowcip na temat ministra zdrowia. Odpowiedział, że z całą ciekawością wysłucha. W jednym z filmów francuskich Brigitte Bardot grała rolę córki premiera Francji. Młoda, piękna dziewczyna robiła same skandale. Któregoś dnia ojciec wezwał córkę i powiedział: *Uspokój się, bo jak tak dalej pójdzie, to ja nawet ministrem zdrowia nie zostanę*. Kolega minister z uśmiechem odpowiedział: „Rzeczywiście złośliwa wypowiedź". Po przyjściu do domu szczerze żałowałem, że powiedziałem ten dowcip, ale wydawało mi się, że koleżeństwo usprawiedliwia nawet tę złośliwą formę dowcipu.

Podczas wizyty studyjnej w Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu w Lund w Szwecji spotkałem przebywającego tam na zaproszenie Uniwersytetu profesora chirurgii z Ann Arbor w Michigan, który był światowym specjalistą chirurgii endokrynologicznej. Miałem okazję poznać się prywatnie z człowiekiem wielkiej miary. Odbyłem z nim wiele rozmów, w wyniku których zaprosił mnie do siebie do kliniki w Ann Arbor. Bezpośrednio po wyborze

na rektora skorzystałem z zaproszenia. W trakcie rozmowy pochwaliłem się, że zostałem wybrany rektorem. Niespodziewanie profesor zorganizował mi wizytę u rektora University of Michigan. Wizyta była bardzo interesująca i twórcza. Czułem się wielce zaszczycony. Na początku rozmowy rektor wyraził bardzo surową opinię o tym, że w Polsce w Akademii Śląskiej ujawniono serię plagiatów. Oburzenie jego jednak nie dotyczyło istnienia problemu plagiatów w Polsce, bo zdarza się to i w Ameryce, ale odpowiedzi rektora śląskiej uczelni, że sprawa uległa przedawnieniu. Wówczas padło wiele gorzkich słów, takich jak: „To wyraz waszej tolerancji dla oszustw w nauce. To skandal, to kradzież – karygodne". Zwróciłem wówczas uwagę, że nie ma on żadnych informacji na temat bardzo surowej reakcji polskiego środowiska naukowego. Wyjaśniłem mu, że zarówno ja, jak i cała społeczność akademicka w Polsce potępiła to wydarzenie i że pojęcie przedawnienia nie może znaleźć tu zastosowania. Udało mi się przekonać rektora, że był to tylko pojedynczy przypadek, jaki mógłby zdarzyć się również u niego.

Atmosfera zmieniła się i rozmowa toczyła się dalej przyjaźnie. Wtedy podczas obiadu spytałem: „Niech pan mi doradzi: co mam robić, żeby być dobrym rektorem? W odpowiedzi usłyszałem: „I tell you – to do nothing", po czym po chwili dodał: „But to attend all dinners". Dalsza rozmowa przebiegała poważnie i twórczo.

Moim pierwszym nauczycielem chirurgii akademickiej był prof. dr Tadeusz Butkiewicz. Była to wielka i silna osobowość oraz wspaniały chirurg. Bardzo dbał o problemy moralne i często powtarzał: „To lekarzowi nie uchodzi". Był wprawdzie bardzo wymagającym, surowym, ale też bardzo lubianym i szanowanym nauczycielem i kierownikiem, który nigdy nie naruszył godności osobistej obwinionego nawet w chwili wysokiego zdenerwowania. W 1944 r. był pierwszym dziekanem Wydziału Lekarskiego urzędującego na Pradze. Reprezentował przedwojenną profesurę. Dlatego wkrótce, ale już po zakończeniu powstania warszawskiego i wyzwoleniu Warszawy, był kierownikiem I Kliniki Chirurgicznej w Szpitalu Dzieciątka Jezus.

W krótkim czasie po rozpoczęciu mojej pracy w klinice w charakterze wolontariusza profesor został wybrany do senatu uczelni. Było to wielkie wyróżnienie i ówcześnie bardzo prestiżowe stanowisko. Któregoś dnia rozeszła się wiadomość, że profesor będzie uczestniczył w posiedzeniu senatu. Spodziewano się burzliwego przebiegu obrad z dyskusją między pro-

fesurą przedwojenną i nowymi władzami uczelni. Wszyscy byli bardzo podekscytowani.

Następnego dnia jego ulubiony asystent dr Klaudiusz Czekalski spytał profesora o przebieg posiedzenia senatu. Po krótkim namyśle profesor odpowiedział z typowo wileńskim akcentem: „Kulego! Ja myślałem, że to Olimp". Kropka.

Po kilku latach pracy w klinice profesora dostałem powołanie do sądu w jakiejś lekarskiej sprawie. Zwróciłem się do profesora z prośbą o radę. Odpowiedź profesora brzmiała:

„Kulega zapamięta sobie na całe życie, że w sądzie kłamać ni wolno. Broń Boże! Nu, podkłamać jednak czasami to nawet i trzeba. Bo widzi kulega, oni bardzo dużo umieją i wiedzą, to jednak, nu, czucia lekarskiego ni mają za grosz. Ot co".

Przechodząc na emeryturę, pan profesor Butkiewicz pełen radosnych i twórczych wspomnień podsumował swoją życiową aktywność, mówiąc (swym śpiewnym akcentem): „Ja w życiu to sporo osiągnąłem. Mógłbym wiele więcej. Nu, sporo kobiety mi przeszkodziły". Zasada ta w moim lekarskim życiu znalazła pełne potwierdzenie.

W latach 1987–1988 pełniłem funkcję prezydenta International Hospital Federation. Instytucja ta reprezentowała interesy 90 krajów członkowskich w zakresie szpitalnictwa. Któregoś dnia powiadomiono mnie, że królowa brytyjska Elżbieta II pragnie się spotkać z zarządem federacji. Jako prezydent byłem pierwszym na liście spośród pięciu zaproszonych gości.

Podczas przywitania szef protokołu dyplomatycznego przedstawił mnie jako pierwszego, informując: „Professor Tadeusz Tolloczko, President of IHF from Poland". Pierwsze pytanie postawione mi przez Jej Wysokość Królową brzmiało: „Stanowisko, jakie pan zajmuje, wymaga wysokich kwalifikacji. Gdzie pan je zdobył?". Odpowiedziałem: „In the Warsaw University Medical School and in England, being on several occasions invited by the British Council, also beeing during last 10 years a member of the management executive Committee of IHF". Pytanie wyrażało zaciekawienie, gdzie we Wschodniej Europie można zdobyć międzynarodowe kwalifikacje. Jak się okazuje, w każdej działalności najbardziej liczy się zawsze profesjonalizm, co wyraziła królowa w swym pierwszym pytaniu. Dalszy przebieg blisko 40-minutowej audiencji potwierdzał taką interpretację otrzymanego od królowej

pytania. Zadziwiająca była merytoryczna wartość i znajomość zadawanych pytań i stwierdzeń, zwłaszcza w odniesieniu do problemów międzynarodowych. Rozmowę cechował bardzo naturalny przebieg, toteż szybko uwolniłem się od tremy oraz poczucia wielkiego dostojeństwa, zacząłem odczuwać wiele spokoju i wzajemnego zrozumienia.

Po otrzymaniu zawiadomienia o tak zaszczytnym spotkaniu postanowiłem skorzystać z rady mego angielskiego przyjaciela z mojej dawnej trzyletniej pracy w Anglii. Kolega ten był aktualnie profesorem chirurgii w Londynie. Na moje pytanie, jak się ubrać, odpowiedział z angielskim humorem: „Dark but not black". Zadałem mu następne pytanie: czy w poczuciu wielkiego zaszczytu mogę pocałować królową w rękę, chociaż wiedziałem, że jest to formalnie niedopuszczalne. Kolega mój (profesor chirurgii) również z poczuciem humoru odpowiedział: „You cant't kiss any part of the Queen's body".

W 1995 r. do Warszawy przybył były niemiecki kanclerz Helmut Schmidt. Po oficjalnych rozmowach i spotkaniach w środowiskach akademickich zorganizowana została uroczysta kolacja w hotelu Victoria. Do okrągłego stołu, przy którym siedział dostojny gość, zostałem zaproszony wraz z prof. Andrzejem Górskim, reprezentując Akademię Medyczną. Siedziałem jako drugi po lewej stronie gościa. Pozostali uczestnicy reprezentowali kilka warszawskich uczelni. Rozmowa była bardzo miła. Ponieważ Helmut Schmidt był prezydentem Niemieckiego Instytutu Kultury Polskiej, spytałem o pracę i wyniki tej instytucji. Tematyka pytań innych uczestników była bardzo różnorodna, stając się żartobliwa podczas deseru. Uzyskałem zgodę dostojnego gościa na opowiedzenie popularnego w Polsce dowcipu o polityce i politykach. Otóż w jakimś państwie ogłoszono konkurs na ministra skarbu. Zgłosiło się dwóch kandydatów. Wysoka prezydencka komisja spytała pierwszego kandydata: *Ile jest dwa plus dwa?*. Odpowiedź jednoznacznie brzmiała: *Cztery*. Komisja podziwiała wiedzę matematyczną kandydata. Drugi kandydat, otrzymawszy takie samo pytanie, odpowiedział: *To zależy, co potrzeba. Może być cztery, może być pięć, ale może być również zero*. I tu spytałem gościa o jego opinię. Odparł: „Odpowiedź swoją dopasuję do żartobliwej anegdoty i powiem, że wybrałbym tego drugiego". „A czy pan wie, kto został ministrem skarbu w tej anegdocie? – spytałem. „No pewnie ten drugi – powiedział. „Nie, ministrem skarbu został szwagier prezydenta". Pan kanclerz dosłownie parsknął śmiechem, a potem kilkakrotnie w trakcie

rozmowy z uśmiechem rzucał zwrot „szwagier prezydenta". Kolację kończyliśmy w wyśmienitym nastroju. „Pana dowcip to sobie zapamiętam", stwierdził na koniec.

W latach 1952–1958 powołany byłem do nadterminowej sześcioletniej służby wojskowej. Po zwolnieniu do cywila, gdy, pracując w klinice, uzyskałem habilitację, powoływano mnie na letnie manewry na funkcję zastępcy dowódcy szpitala polowego Brygady Ochrony Rządu i Naczelnego Chirurga. Pomimo niechętnego stosunku do służby w wojsku powołanych na manewry lekarzy udało mi się jednak zmobilizować cały lekarski zespół do zaangażowanego udziału w manewrach. Dostawaliśmy nawet pochwały. Podczas generalskiej inspekcji w namiocie przeznaczonym na salę operacyjną szczegółowo wyliczyłem inspektorowi zauważone braki. Generał – typowy frontowy oficer – ze zniecierpliwieniem słuchał mojej wyliczanki, po czym zlecił sporządzenie wykazu i zwracając się do mnie powiedział: „A wam, majorze, to powiem – nie macie się co denerwować, bo w tej jednostce to straty są albo totalne, albo żadne".

Na zaproszenie ministra zdrowia prowincji Alberta w Kanadzie uczestniczyłem w konferencji szpitalnictwa Kanady i USA w Edmonton. Choć moje wystąpienie zostało dobrze przyjęte, to jednak dopiero tam zorientowałem się, co nas czeka w kontekście rozwoju technologii.

Podczas pożegnalnej kolacji mile dyskutowałem z panem ministrem. Gdy rozmowa kończyła się dowcipami, powiedziałem, że w Polsce opowiada się dużo złośliwych kawałów na temat ministrów. Zostałem poproszony o opowiedzenie jakiegoś.

„Proszę odpowiedzieć na pytanie: jaka jest różnica między ministrem a normalnym człowiekiem?" – zapytałem. Minister – mój rozmówca – podał kilka przykładów, ale żaden nie odpowiadał precyzyjnie na pytanie. W końcu powiedział: „No, nie wiem". „No właśnie – różnicy nie ma żadnej, ale minister o tym nie wie" – odpowiedziałem. Rozstaliśmy się z uśmiechem.

W okresie mojej prezydentury IHF odbył się światowy kongres tej organizacji w Amsterdamie. Podczas jednej z sesji burzliwie dyskutowano problem polityki finansowej szczególnego zagadnienia. Niezgodności opinii zależały od tego, czy referent był przedstawicielem bogatego, czy rozwijającego się kraju. Swoją opinię, wyrażoną podczas wypowiedzi, zilustrowałem wówczas

anegdotą: „Farmer z rozwijającego się kraju mówi do amerykańskiego farmera: *Czy ty wiesz, że ja mam taką farmę, że potrzebuję prawie dwie godziny, ażeby ją obejść dookoła? Amerykański farmer odpowiada: Ja mam taką farmę, że jak rano siądę na konia, to do wieczora nie dojadę do końca mojej farmy. I słyszy odpowiedź: Gdybym miał takiego konia, to bym go zastrzelił".* Wypowiedź moja wywołała huragan śmiechu i spowodowała, że dalsza część dyskusji odbyła się w bardzo pojednawczej atmosferze.

W latach 50. ubiegłego wieku podczas porannej odprawy w klinice prof. Jan Nielubowicz powiedział, że z okazji święta 1 Maja otrzymał pieniądze na nagrody dla zasłużonych i spytał też, kto z kolegów ostatnio dostał nagrodę z okazji rocznicy rewolucji październikowej. Zaległa głęboka cisza. Nikt nie chciał się przyznać, by nie stracić szansy na kolejną nagrodę. Nagle znany dowcipniś Józek M. powiedział: „To ja panu profesorowi powiem: a nagrodę dostał pan rektor, panowie prorektorzy, panowie dziekani, niektórzy prodziekani, a reszty to nie pamiętam". Kiedy po przeszło 35 latach zostałem rektorem i podpisywałem listy nagród, to zawsze przypominał mi się Józek.

Spotkałem w życiu wiele osób również o znakomitej osobowości, które nie umiały się zestarzeć. Miały do wszystkich, a zwłaszcza do lojalnych wobec nich asystentów pretensje, że się starzeją.

Przed laty podczas jakiegoś zjazdu w Poznaniu w trakcie kolacji siedziałem naprzeciwko prof. Adama Piskorza. Był on już ze cztery lata na emeryturze. „Panie profesorze, jak panu leci życie na emeryturze?", spytałem. „Czy ma pan szansę samorealizacji?". Profesor uśmiechnął się i powiedział: „Tadziu – ja od nich nic nie chcę, a oni mi dają więcej, niż ja mogę" (następcą profesora był prof. Stanisław Zapalski). Była to pięknie i precyzyjnie wyrażona, niezwykle mądra rada dla odchodzących na emeryturę. Cała mądrość wypowiedzi profesora zawarta jest w słowach: „Ja od nich nic nie chcę" – reszta jest oczekiwanym skutkiem.

Podczas mojej niespodziewanej choroby na jednym ze zdjęć radiologicznych ukazały się podejrzane cienie, które wzbudziły mój niepokój. Leczący mnie lekarz uspokajał mnie, mówiąc: „To nie jest nic groźnego. Nie martw się – nie na to umrzesz".

Postscriptum

W gimnazjum zaliczany byłem do tzw. grupy dobrych matematyków. Uzyskałem maturę typu matematyczno-fizycznego. Ukończyłem liceum z łaciną według programu humanistycznego. Po kilku opracowaniach statystycznych przeprowadzonych w klinice zwróciłem się do profesora Nielubowicza o skierowanie na kurs zastosowania matematyki w medycynie, organizowany przez Wydział Matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego w Jabłonnie koło Warszawy. Kurs trwał jeden miesiąc rocznie, przez cztery lata. Kierownikiem był prof. Stefan Zubrzycki, uczeń prof. Hugona Steinhausa. Były to medyczno-matematyczne thrillery. Po miesięcznych zmaganiach z matematyką profesor zorganizował pisemne kolokwium. Ogłaszanie wyników pierwszego sprawdzianu rozpoczął ułożonym przez siebie wierszykiem: „Wiedzcie wszyscy, że w sobotniej operacji konkursowej o najwyższe wyróżnienie chirurg zdobył prowadzenie". Ale niestety zdobytej wiedzy nie zdołałem wykorzystać w praktyce.

Współcześnie w wielu ośrodkach praca kliniczna wyzwala myśl badawczą w poszukiwaniu i rozwiązywaniu problemów klinicznych również w zakresie tzw. rutynowo wykonywanej pracy.

☛ Były rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego (2008–2016) prof. Marek Krawczyk wręcza prof. Tadeuszowi Tołłoczce ufundowaną przez siebie pamiątkową statuetkę lekarza.

Statuetka z okazji 90. urodzin prof. Tadeusza Tołłoczki od byłego rektora WUM prof. Marka Krawczyka.

☛ Prof. Tadeusz Tołłoczko za czasów swojej młodości pasjonował się żeglarstwem.

☛ Odprawa poranna w I Klinice Chirurgicznej w Szpitalu Dzieciątka Jezus przed odejściem na emeryturę założyciela i kierownika tej kliniki prof. Tadeusza Butkiewicza (1881–1972). W pierwszej ławce od prawej: dr n. med. Bolesław Marzinek, doc. Jan Nielubowicz, dr Tadeusz Tołłoczko, dr Wanda Więckowska, doc. Zdzisław Łapiński, dr Teresa Aleksandrowicz.

☛ Uczestnicy inauguracji roku akademickiego 1992/1993 z Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Medycznej w Warszawie. Uroczystość odbyła się w Teatrze Wielkim.

Na zdjęciu w środku Prezydent RP Lech Wałęsa.
Po prawej prymas Polski ks. kard. Józef Glemp.
Z tyłu rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Andrzej Kajetan Wróblewski.
Po lewej rektor Akademii Medycznej prof. Tadeusz Tołłoczko.
Pozostałe osoby to rektorzy uczelni warszawskich i krajowych.

☛ Wizyta królowej angielskiej Elżbiety II w siedzibie International Hospital Federation w Londynie w 1988 r. Królowa wita się z ówczesnym prezydentem Federacji prof. Tadeuszem Tołłoczką.

☛ Spotkanie opłatkowe z ks. prymasem Józefem Glempem

☛ Zjazd chirurgiczny, 1997

☛ Rektor prof. Tadeusz Tołłoczko wraz z dziekanem prof. Longinem Marianowskim wręcza swojej córce Marii dyplom ukończenia studiów lekarskich. Przed laty pan dziekan jako lekarz pomagał pani Marii przyjść na świat.

☛ Od lewej prof. Jacek Szmidt, w środku prof. Jan Nielubowicz – pierwszy wybrany w demokratycznych wyborach Rektor Akademii Medycznej w Warszawie (1981–1986) oraz jego uczeń prof. Tadeusz Tołłoczko (po prawej) – trzeci z kolei rektor pochodzący z wyboru społeczności akademickiej.

☛ Od lewej prof. Jan Nielubowicz, założyciel i kierownik Kliniki Chirurgii Naczyń i Transplantologii oraz obok jego uczeń prof. Tadeusz Tołłoczko, 1999 r.

☛ Rektor prof. Tadeusz Tołłoczko wpisuje się do Wieczystej Księgi Pamiątkowej Grobu Nieznanego Żołnierza. Obok ówczesny rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Włodzimierz Siwiński.

☛ Spotkanie koleżeńskie z panem rektorem podczas uroczystości dyplomatorium w 2025 r. Od lewej siedzą: rektor prof. Rafał Krenke, prof. Tadeusz Tołłoczko, były dziekan Wydziału Lekarskiego prof. Longin Marianowski. Od lewej stoją: prof. Tadeusz Grochowiecki, prorektor prof. Marek Kuch.

Wizyta w Watykanie

Podczas Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich w roku 1995 postanowiono zorganizować dla rektorów szkół akademickich wyjazd do Ojca Świętego Jana Pawła II. Zespół rektorów był światopoglądowo bardzo zróżnicowany, ale osoba papieża była powszechnie znana i uznawana. Już w Rzymie mówiło się, że dwóch z całego zespołu rektorów – w tym jeden z Warszawy-- z uzasadnionych przyczyn było nieobecnych. Była to pierwsza historyczna wizyta rektorów polskich u papieża Polaka, co stanowiło bardzo silny czynnik łączącym rektorów z papieżem. Atmosfera wyjazdu była bardzo serdeczna, już na lotnisku w Warszawie uczestnicy czuli się sobie życzliwi i bliscy nawet jako nieznajomi.

4 stycznia 1996 r. Ojciec Święty przyjął nas w Sali Konsystorskiej, w której gości koronowane głowy i prezydentów państw. Odczytaliśmy to jako specjalne wyróżnienie. Siedzieliśmy wszyscy jeden obok drugiego, tworząc półkole, w środku którego mieścił się papieski tron. Na wejście Ojca Świętego oczekiwaliśmy ze świadomością wielkiego wydarzenia w tak dostojnym i historycznym miejscu. Stwarzało to bardzo podniosłą atmosferę powagi i radości. Osobiście odczułem, że wraz z papieżem wchodzi wielki majestat dobroci i mądrości.

W swej wypowiedzi Ojciec Święty pogłębił zrozumienie współdziałania nauki i wiary, które jak dwa skrzydła unoszą myśl ludzką wzwyż aż do prawdy. W trakcie skierowanego do nas przesłania stało się dla mnie oczywistością, że Ojciec Święty nas rozumie i wraz z nami przeżywa nasze problemy i współuczestniczy w nich. Dlatego każde wypowiedziane słowo było inspiracją nadziei i zachęty do zmagań o dobro i prawdę w życiu i nauce, do zmagań o zwykłą codzienną uczciwość. W konkluzji wypowiedzi usłyszeliśmy, że najlepszą metodą na bolączki i problemy, zwłaszcza społeczne, jest życie w prawdzie.

W półkolu siedzących rektorów zajmowałem pierwsze miejsce po lewej stronie. Rozmowę z poszczególnymi rektorami Ojciec Święty rozpoczął jednak od swojej prawej strony. Byłem więc ostatnim rozmówcą. Okazało się jednak, że było to „strategicznie" najlepsze miejsce, gdyż Ojciec Święty mógł poświęcić na rozmowę ze mną więcej czasu, właśnie jako ostatniemu. Dało mi to również czas na jak najbardziej zwięzłe sprecyzowanie myśli. Miałem wielką tremę i zastanawiałem się czy myśli moje są dostatecznie mądre, by

wypowiedzieć je temu wielkiemu intelektualiście. W trakcie mojej wypowiedzi Ojciec Święty uczynił jednak znamienny ruch zmniejszający dzielącą nas odległość. Odebrałem to jako wyraz koncentracji jego życzliwej dla mnie uwagi. Nabrałem większej śmiałości i pewności w wartość wypowiadanych słów. Przedstawiając się jako Rektor Akademii Medycznej w Warszawie, w wypowiedzi swojej zawarłem następujące myśli:

Nawiązując do skierowanego do nas pasterskiego posłania o konieczności „twórczego zaangażowania i wierności prawdzie" swoje zadanie jako rektora widzę w niezłomnym promowaniu nauki, a w nauce i w naszym akademickim życiu – prawdy, ponieważ tylko poprzez prawdę dojdziemy do wyjaśnienia sensu naszego istnienia. Dalsze swoje zadanie widzę w utrzymaniu ścisłego związku nauki z moralnością oraz w ochronie czystości nauki i akademickiego życia tak, ażeby zasady moralności, kultury i zwykłej uczciwości docierały również do naszych państwowych elit. W realizacji naszych zadań musimy być jednak świadomi, że profesorowie i rektorzy też dziedziczą błędy i wady cywilizacji naszego czasu. Do wykazu najpoważniejszych zagrożeń współczesności włączyłbym rozkwit wszelkiej odmiany pozorów, a zwłaszcza pozorowanej twórczości oraz manipulowanie hierarchią wartości. Wiąże się to pośrednio z wielkim zainteresowaniem nauki odśmiertelnianiem życia. W naszym środowisku reprezentowane są różnorodne postawy – od naukowego kapłaństwa aż po skrajny oportunizm i brak poczucia dobra wspólnego.

☛ Rektor prof. Tadeusz Tołłoczko rozmawia z Ojcem Świętym Janem Pawłem II w Watykanie .

Z wewnętrzną wielką osobistą dumą przyjąłem skierowaną do mnie omawiającą i akceptującą moje wywody odpowiedź Ojca Świętego zakończoną słowami: Dziękuję za myśli. Stanowi to dla mnie najwyższe wyróżnienie.

Jeden dzień pobytu poświęcony został na zwiedzanie zabytków i skarbów Watykanu, połączone z piękną narracją przewodnika. Następnego dnia wszyscy udaliśmy się na Monte Cassino, by uczcić pamięć bohaterskich zdobywców tego wzgórza z klasztorem. Oprócz wieńca złożonego w imieniu wszystkich rektorów wielu z nich składało indywidualne wiązanki kwiatów na grobach swoich bliskich. Na cmentarzu mszę świętą polową odprawił rektor Akademii Teologicznej w Warszawie ks. prof. Jan Łach, a homilię wygłosił rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego ks. prof. Stanisław Wielgus. W klasztorze usłyszeliśmy wspaniały, bogato ilustrowany wykład o taktycznych aspektach i przebiegu bitwy oraz o międzynarodowym znaczeniu politycznym zwycięstwa. W Warszawie wszyscy pożegnali się bardzo serdecznie, jak dobrzy znajomi.

Podziękowania

Inicjatorem niniejszych wspomnień był prof. Marek Krawczyk, który po wysłuchaniu mojego opisu przebiegu jakiegoś wydarzenia powiedział: „Ty musisz to koniecznie opublikować, albo raczej opisać cały okres swojej rektorskiej kadencji. Współczesna historia naszej uczelni nie jest powszechnie znana. Najczęściej wydarzenia są przedstawiane w formie anegdoty o tendencyjnej treści. Twoje wspomnienia z pewnością staną się zachętą dla byłych i przyszłych rektorów do opisania swojej kadencji". Do podjęcia decyzji profesor bardzo mnie dopingował. Ja sam bardzo się wahałem, bo było wiele dla mnie niesprzyjających okoliczności. W końcu uległem argumentacji i wielkiemu doświadczeniu wydawniczemu profesora. Okres rektorskiej kadencji profesora Krawczyka był pełen twórczych wydarzeń, dlatego jego każda uwaga jest i ciekawa, i wartościowa. Za inicjatywę, wsparcie koncepcyjne i pomoc w przezwyciężeniu wahania bardzo serdecznie panu profesorowi dziękuję.

Jestem w pełni świadomy, że moje „Wspomnienia" nie mają wartości dokumentu, ponieważ pisane były pod wpływem emocji przeżytych zdarzeń. Jako chory na jaskrę straciłem wzrok i nie widzę liter ani na ekranie, ani na klawiaturze. Nauczyłem się pisać dwoma palcami ,,po ciemku", pamiętając, w którym rzędzie i na której pozycji znajduje się pożądany znak. Zajmowało to chyba z pięciokrotnie więcej czasu niż normalnie. Na nauczenie się pamięciowej lokalizacji znaków drukarskich na niewidocznej płaszczyźnie klawiatury nie mam już czasu, jako że mam 95 lat. Problem polegał jeszcze na tym, że całkowicie pozbawiony zostałem możliwości formatowania tekstu. Cały tekst liczący ostatecznie przeszło 70 stron napisałem jednak sam z licznymi błędami. To wymagało drobiazgowej korekty. I tutaj szczęście mnie nie ominęło. Poprzez Ośrodek Pomocy Społecznej poznałem wspaniałe osoby. Bardzo pragnę serdecznie podziękować panu Wojciechowi Latuskowi za pomoc nie tylko w korekcie, ale również redagowaniu całości, korzystając jednocześnie z jego imponującej humanistycznej wiedzy. Niezwykłej pomocy udzieliła mi pani Karolina Romankiewicz, która poza umiejętnością redakcyjnej pracy znała wszystkie tajemnice komputera. Pomocy udzieliła mi również pani Marta Sitnik, studentka trzeciego, a następnie czwartego roku medycyny, która w sposób perfekcyjnie sprawny wykonywała swą pracę, wzbogacając ją licznymi inwencjami. Jej obecność i opowiadania przypominały mi czasy, gdy aktywnie działałem na Warszawskiej Akademii

Medycznej. Obie panie wnosiły optymizm połączony z radością tworzenia. Raz jeszcze dziękuję wszystkim osobom, które jako wolontariusze bezinteresownie udzieliły mi niezbędnej dla mnie pomocy. W przeciwnym wypadku moje wspomnienia nie ujrzałyby światła dziennego.

W 1987 r. przeszedłem pierwszy zawał serca. Lekarzem dyżurnym ratującym mi życie był doktor Grzegorz Opolski i od tej pory jako profesor nieustannie razem z prof. Januszem Kochmanem sprawiają, że żyję i działam. Przeszedłem 10 kardiologicznych interwencji wieńcowych, z czego cztery w ostatnim roku. W przerwach między obciążonymi znamiennie dużym ryzykiem operacjami i napadowymi bólami pisałem te wspomnienia. Tak więc są to dwie osoby, bez których żadne moje działanie, a nawet samo tylko życie nie mogłoby trwać. Składam z serca i rozumu gorące podziękowania.

Dodatkowo cierpię na niewydolność jedynej lewej nerki, którą skutecznie opiekuje się pani doktor Jadwiga Rojek-Trębicka. Pomimo postępu choroby po każdej wizycie u pani doktor czuję się lepiej i czuję, jak spływają na mnie jej energia, wiedza, doświadczenie i empatia. Dodam jeszcze, że przykuty jestem do wózka inwalidzkiego z powodu powikłanego złamania szyjki kości udowej. Moja wydolność życiowa jest krańcowo ograniczona i wymaga stałej pomocy.

Nie zdołam wymienić wszystkich przyjaciół, którzy z poświęceniem nieśli mi pomoc i ratunek w ciężkich chwilach mego życia, przywracając je po zatrzymaniu akcji serca. Wszystkim z serca wyrażam głęboką wdzięczność. Trudno jest mi wyrazić słowami z głębi serca płynącą należną wdzięczność profesorowi Ireneuszowi Nawrotowi za jego lekarską i ludzką, zawsze niezawodną i skuteczną, wszechstronną pomoc. I tu nie mogę pominąć niezwykłej pomocy, jakiej przez opiekuńczą pielęgnację udziela mi pani Ania.

Przez 35 lat pędziłem żywot lekarza akademickiego. Szczycę się być uczniem prof. Jana Nielubowicza. Był on nie tylko nauczycielem chirurgii i nie tylko mnie, ale wielu uczniów wciągnął w sferę nauki. Ponadto swoim życiem wykazał, co to znaczy być lekarzem. Okres mojego kształcenia podyplomowego wiązał się ze zmianą systemu zdobywania wiedzy i jej przekazu. Postęp w medycynie klinicznej odbywał się dotychczas głównie na drodze empirii. W medycynie zaczęła dominować nowoczesność korzystająca z myślenia patofizjologicznego. Mój bezpośredni nauczyciel prof. Jan Nielubowicz był jednym z wiodących propagatorów tego systemu zdobywania i przekazywania wiedzy. Ja byłem jednym z jego wielu uczniów. I tak spędziłem moje życie do momentu powołania mnie na stanowisko rektora. Doszły

wówczas nowe administracyjne, naukowe i moralne obowiązki. Profesor po wyborze na stanowisko rektora w 1981 r. zaproponował mi funkcję prorektora, którą pełniłem przez dwie kadencje.

Sama chirurgia dostarczyła mi co najmniej tylu emocji, doznań i przeżyć z tytułu poczucia odpowiedzialności i zaangażowania w spełnianiu misji lekarskiej, ile mają zdobywcy Mount Everestu, samotnicy opływający świat i wielcy dramatyczni aktorzy. Tu chodziło jednak o coś znacznie więcej niż realizację własnej pasji, ambicji, przezwyciężanie własnych niemożności i żywiołu przyrody – po prostu chodziło o ratowanie ludzkiego życia. Zadania te obejmowały problemy nie tylko pojedynczych chorych, ale całą społeczność akademicką.

Szczęśliwy los sprawił, że przeżyłem wojnę, przeżyłem powstanie warszawskie, mam wspaniałe małżeństwo i szczęśliwą rodzinę. Miałem też szczęście do wspaniałych nauczycieli. Podczas niemieckiej okupacji uczęszczałem do Szkoły Budowy Dróg i Mostów prowadzonej przez księży marianów na warszawskich Bielanach. Równolegle prowadzono tam tzw. tajne komplety, ucząc zakazanych przedmiotów (np. języka polskiego, łaciny, historii). Nauczyciele tajnych kompletów byli bohaterami polskości, nauczania i wiary. Karą za nauczanie była zsyłka do koncentracyjnych obozów śmierci. Uczono według przedwojennego programu gimnazjalnego. Już po wojnie nauczycielami akademickimi na Wydziale Lekarskim byli również bohaterowie zorganizowani w latach niemieckiej okupacji w formie Tajnego Wydziału Lekarskiego. W czasie okupacji nauczanie, jak leczyć chorych, karane było zsyłką do obozu lub śmiercią w lochach Gestapo. Pamiętam troskę nauczycieli, ich poświęcenie, ryzyko oraz wysiłek w przekazywaniu uczniom wiedzy, gdy nie było żadnych pomocy dydaktycznych, podręczników czy skryptów, a wykłady odbywały się często w nieogrzewanych salach. Były trudności w uzyskaniu pracy dla absolwentów w jednostkach klinicznych, bowiem ordynatorzy poszukiwali doświadczonych lekarzy (a takich nie było), a nie absolwentów.

Podczas mego w sumie trzyletniego pobytu w Anglii moim nauczycielem był prof. Max Sanderson – wspaniały chirurg i silna osobowość. Uczył mnie poczucia własnej wartości– powiedział mi kiedyś, że: „Ty w życiu niczego nie osiągniesz", ponieważ, jak się wyraził, „you are too modest". Jego uwagi i nauczanie starałem się realizować.

Chciałbym złożyć podziękowania dla prorektorów obu moich kadencji, a byli nimi profesorowie: Janusz Cianciara, Andrzej Górski, Janusz Piekarczyk,

Jan Pachecka, Aleksander Wasiutyński. Ich osobowości, życiowej i naukowej wiedzy i mądrości, kompetencji i pełnej poświęcenia pracy zawdzięczamy spokojny, harmonijny i dynamiczny rozwój uczelni. W sposób szczególny wdzięczny jestem za współdziałanie w budowaniu więzi społecznej i poczucia jedności całej społeczności akademickiej. Mogła ona szczycić się tym, że pomimo silnych zmagań politycznych udało się powstrzymać wzmożone tendencje do rewanżyzmu i skupić na sprawach merytorycznych i rozwoju nauki.

Zespół prorektorski, sprawnie wykonując swoje obowiązki związane z bieżącym zarządzaniem Akademią, stworzył dla mnie lepsze warunki do zajęcia się sprawami rozwoju uczelni, w tym sprawą odzyskania Pola Mokotowskiego. Powstała samorzutnie tzw. grupa robocza. Nie była ona powoływana żadnym zarządzeniem i nie była też rozwiązywana po realizacji zadania. Zrodziła się w sposób naturalny, spontanicznie. Po podjęciu decyzji rozpoczęcia walki o Pole Mokotowskie nawiązałem kontakt z dyrektorem Akademii inż. Jackiem Żbikowskim, który okazał się nieocenionym i niedocenionym współdziałaczem, emocjonalnie zaangażowanym w plany naszego działania. Z natury rzeczy nawiązałem kontakt z dyrektorem Zarządu Inwestycji Akademii Medycznej (ZIAM) Tadeuszem Długoszem. W instytucji tej pracowała pani mecenas Danuta Lewandowska. Najpierw sporadycznie, a potem planowo i często spotykaliśmy się razem, by wspólnie rozwiązywać ujawniające się problemy. Do grupy tej dołączył profesor Maciej Skulski z Wydziału Farmacji, który był radnym Miasta Stołecznego Warszawy. Był on skutecznym rzecznikiem naszych spraw w radzie miasta. Zadania nas wszystkich szybko się zwiększały i przekraczały nasze możliwości. Stanowiliśmy jednak grupę entuzjastów. W okresie, gdy sprawy zaczęły się przechylać na naszą stronę, dostałem telefon od rozmówcy przedstawiającego się jako prezes „Centrum Handlu ze Wschodem". Początek rozmowy był bardzo napastliwy, w końcu jednak dobrodusznie zaproponował mi współpracę i rezygnację z ambicji akademickich, obiecując w razie wygranej stanowisko członka rady nadzorczej. Nie akceptując oczywiście takiej propozycji, odpowiedziałem mu: „Nie wierzę, że dotrzymałby pan słowa". W trakcie rozmowy doszedłem do wniosku, że rozmówca nie jest z pewnością tym, za kogo się podaje. Pomyślałem, że skoro składają mnie taką propozycję, to z pewnością wcześniej proponowali coś też pani mecenas i obu dyrektorom, którzy te propozycje odrzucili. Istniały wielkie możliwości nieujawnionej współpracy tych osób z przeciwnikami i tak na przykład pani mecenas miała możliwość

ukrytej współpracy, nie podając do ogólnej wiadomości wykrytego tylko przez nią fałszerstwa dokumentów wypisu i wyrysu rejestru gruntów. Fakty te zbudowały moje pełne, bez najmniejszych zastrzeżeń zaufanie do wymienionych osób i dlatego miały one całkowitą swobodę w działaniu, co mi czasami zarzucano. Uczciwość tych osób była kluczowa dla wygrania całej sprawy.

Pierwszym wzorcem w pracy rektorskiej był dla mnie prof. Jan Nielubowicz, który, będąc rektorem, powołał mnie na stanowisko prorektora. W kolejnych latach zostałem wybrany rektorem. W wypełnianiu tych funkcji pomocne były również moje wcześniejsze doświadczenia międzynarodowe, zwłaszcza gdy przez 12 lat byłem członkiem zarządu International Hospital Federation (IHF). Przez dwie kadencje byłem członkiem Management Committee i dwie kadencje członkiem Executive Committee tej organizacji. Przez dwa lata pełniłem funkcję prezydenta IHF i tu również miałem szczęście do osób z zespołu zarządzającego. Wspaniałą postacią był Miles Hardy, Oksfordczyk, który, będąc dyrektorem naczelnym, uczył mnie pracy w zespole wielonarodowościowym. Jego następca, Australijczyk Errol Pickering, był bardzo dynamiczną osobistością i uczył mnie pragmatycznego spojrzenia na problemy. Bardzo dużo zawdzięczam mu w kwestii nabycia umiejętności menedżerskich. W tym czasie jednym z dwóch prezydentów IHF był Jean Claude Martin, Kanadyjczyk, doświadczony ekspert od spraw międzynarodowych. Był wspaniałym przyjacielem i nauczycielem. Dzięki jego nauce i przykładowi łatwiej było mi później kierować dużą instytucją, jaką była Akademia. Wszystkie wymienione tutaj osoby były dla mnie rzeczywistymi nauczycielami i osobistymi przyjaciółmi. Cała dwunastoletnia praca w IHF stanowiła dla mnie dużą szkołę kierowania wielonarodową organizacją, ponieważ IHF zrzeszała delegatów z 90 krajów.

Poczuwam się do obowiązku wspomnienia o doniosłej roli, jaką odegrały Polskie Towarzystwo Lekarskie (PTL) oraz Towarzystwo Lekarskie Warszawskie (TLW) w życiu kraju, wzbogacając naszą pamięć, historię, tożsamość polską i świadomość, zarówno w okresie niewoli, jak i niepodległości. Prowadzono nieustanną akcję repolonizacji kraju. Prezes TLW prof. Jerzy Jurkiewicz kompetentnie realizował w swoim zakresie politykę historyczną. Przekazywana prawda była odpowiedzią na politykę historyczną naszych państwowych sąsiadów. Utrzymywał żywą, ścisłą łączność z bohaterami powstania warszawskiego 1944 r.

Uzbrojony w liczne talenty prezes PTL prof. Jerzy Woy-Wojciechowski, wraz ze swoją małżonką Alicją i zespołem współpracowników, nadawali całej działalności PTL dodatkowy, artystyczny wymiar, co bardzo wzmacniało wymowę wygłaszanej merytorycznej treści. Dziś prof. Waldemar Kostewicz z poświęceniem spełnia obowiązki przewodniczącego i kontynuuje działalność swoich wielkich poprzedników.

Jako rektor bardzo mile i konstruktywnie wspominam współpracę z prezesami Naczelnej Izby Lekarskiej, a zwłaszcza w okresie mojej kadencji z dr. Krzysztofem Madejem. Bardzo ożywioną łączność utrzymywałem z prezesami i zarządami Izby Warszawskiej, a w szczególności z dr. Andrzejem Włodarczykiem i dr. Mieczysławem Szatankiem. Z nimi i ich wszystkimi następcami wspólnie dbaliśmy o godność chorego, godność lekarza i warunki pracy.

Wdzięczny jestem również mojej córce Marii, która pomimo nawału pracy i przeróżnych obowiązków znajduje czas na niesienie potrzebnej mi pomocy. Najgorętsze podziękowania składam mojej żonie Elżbiecie Gertrudzie nie tylko za pomoc w pisaniu tekstu, ale zwłaszcza za pełną poświęcenia niezwykłą pomoc w codziennym życiu.

JM Panu Rektorowi prof. Rafałowi Krenke pragnę złożyć bardzo serdeczne podziękowania za wnikliwe zapoznanie się z treścią przedstawionego opracowania, za bardzo wartościowe komentarze, uwagi, poprawki oraz za decyzję opublikowania tego eseju.

Warszawa, 28 kwietnia 2025 r.

☛ Rektor WUM prof. Rafał Krenke i prof. Tadeusz Tołłoczko, luty 2026 r.

Autor
Prof. dr hab. n. med. Tadeusz Tołłoczko

Recenzja
Prof. dr hab. n. med. Aleksandra Banaszkiewicz
Prof. dr hab. n. med. Dagmara Mirowska-Guzel

Projekt graficzny, skład i łamanie
Paulina Derecka-Sitnik

Korekta
Aleksandra Wicik

Zdjęcia
Archiwum WUM, archiwum prywatne T. Tołłoczko

Koordynacja
Agnieszka Wlazłowska-Pietrzak
Biuro Komunikacji i Promocji WUM

ISBN 978-83-7637-673-0

Wydawca
Sekcja Druków Uczelnianych
Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego
nakład: 200 egz.
e-mail: wydawnictwo@wum.edu.pl

Druk
Proprint Usługi Poligraficzne
ul. Daleka 9
96-321 Grzegorzewice

Publikacja na licencji Creative Commons
Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe (CC BY-NC-ND 4.0)
Publication under license Creative Commons
Attribution-NonCommercial–NoDerivatives 4.0 International (CC BY-NC-ND 4.0)

✲ ✲ ✲

Rektorska dola to książka, której autor jest niezwykłą osobą, a ściślej mówiąc, osobowością. **Prof. dr hab. med. dr h. c. Tadeusz Tołłoczko** to nie tylko rektor dwóch kadencji (1990–1993; 1993–1996) Akademii Medycznej w Warszawie, ale także nadzwyczajny umysł. Jego biografię powinien przeczytać nie tylko medyk, absolwent naszej wspólnej uczelni, nie tylko pracownik naszej Alma Mater, ale i każdy, kto ma potrzebę dowiedzieć się, czym jest życie akademickie. Książka *Rektorska dola* przedstawia syntetycznie i z niezwykłą prawdą najważniejsze osiągnięcia rektora prof. Tadeusza Tołłoczki. I nie chodzi tu tylko o sukcesy wybitnego chirurga i uczonego, a także o dokonania na polu administracyjnym przy zawiadywaniu uczelnią. To rektorowi Tołłoczce zawdzięczmy zwycięskie zmagania, by Pole Mokotowskie oddano we władanie uczelni, przeciwstawienie się decyzji natychmiastowego relegowania z budynku medycyny teoretycznej znajdującego się na terenie Uniwersytetu Warszawskiego, utrzymanie autonomii medycyny warszawskiej i powołanie oddziału nauczania w języku angielskim. Te niezwykle ważne osiągnięcia stały się faktem tylko dlatego, że naszą uczelnią kierował w bardzo trudnych latach charyzmatyczny i skuteczny w działaniu rektor – prof. Tadeusz Tołłoczko.

Rektorską dolę polecamy także z innego powodu. Profesor Tadeusz Tołłoczko jest erudytą. Myśli, które zawiera w książce, w wielu przypadkach mogą być wskazówkami nie tylko dla osób, które sięgają po berło rektorskie, ale dla każdego, kto chce być lekarzem nie tylko z zawodu, lecz lekarzem z pasją, lekarzem myślącym, wierzącym w swoją misję. Ta niezwykle celna uwaga powinna być przytaczana i podczas immatrykulacji, i podczas składania przysięgi Hipokratesa i odbierania dyplomu lekarza, a także wręczania każdego dyplomu ukończenia naszej uczelni.

Kończąc tę krótką rekomendację, z pełnym przekonaniem stwierdzamy, że rektor prof. Tadeusz Tołłoczko był mistrzem w chirurgii, ale dla nas był i na zawsze pozostanie wzorem postępowania, drogowskazem i mentorem.

W 2026 r. **prof. dr hab. med. dr h. c. Tadeusz Tołłoczko** ukończył 97 lat. Takie postacie powinny dzielić się swoją mądrością w nieskończoność.

Prof. dr hab. n. med. Rafał Krenke
Rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

Prof. dr hab. n. med. Marek Krawczyk
Rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego
w kadencji 2008–2016

Warszawa, 8 sierpnia 2026 r.